Nr. 7. **Poznań, Niedziela 17go Lutego 1895 r.** **Rok II.**

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ

O naszych publicznych zadaniach architektonicznych i ich przeprowadzeniu.

II.

Każdy przywódzca postawiony na czele budowli, a obcy nam językiem, stara się — jak jest rzeczą naturalną — w pierwszym rzędzie dobrać sobie pomocników swej narodowości, z którymi porozumieć mu się łatwiej. Ztąd ukazują się odnośne inseraty najprzód w berlińskich pismach fachowych, a wszelkie zabiegi Polaków, aby dostać się do współudziału w zarządzie, pełzną na niczem. Tak powstaje cały zarząd na naszych budowlach publicznych, obcy nam zupełnie.

Gdy raz tę kwestyę poruszyliśmy na większem zgromadzeniu, mówiono nam ze strony przeciwnej, a gotowej do przytaknięcia wszystkiemu, co „u góry się dzieje“, że tak względy na „Berlin“ postąpić nakazywały, lecz że nasi za odpowiednią kompensatę uważaćby sobie mogli, iż wszelkie roboty rozdawane będą katolikom i to naszym.

W innym przypadku wiadomo nam, iż architekt, obcy nam językiem, za zasadę uważa, by grubsze roboty oddawać tylko naszym, a za subtelniejsze wykonania budowlane wtedy tylko przyjąć raczy odpowiedzialność, jeżeli one powierzone zostaną znanym mu obcokrajowcom. Takie postępowanie dzieje się z wielką ujmą dla naszych rzemieślników, którym na miejscu odbiera się sposobność dalszego kształcenia. Dopóki to przez taki podział pracy będziemy się sami poniżali, oddając cugle nad sobą w obce ręce? Mylą się bardzo ci, co podsuwają nam możliwość uznania tak dziwnego rodzaju kompensaty. Architektom naszym więcej zapewne, niż na zysku materyalnym, zależy na utrzymaniu chwały polskiego imienia, a poniżająca dla nich jest myśl sama, że kronikarze przyszłych pokoleń mogliby zanotować, iż dla braku własnych sił musiano i w naszym wieku w projektach budynków kościelnych zapożyczać się u obcych. musiano na czele budowli stawiać obcych nam językiem, a nawet religią! Wstydby nas być powinno, iż sami sobie poradzić nie możemy. Ale myśl taka nie męci spokoju w decydujących sferach. Lwi udział przypada architektom *obcym*, protegowanym przez wpływowe osobistości *nasze*, a polski architekt odgrywa rolę kopciuszka. Czyż wobec tego, co się w około nas dzieje. my sami w ten sposób nie podajemy broni przeciwko sobie? Czyż nie wstydby nas było, gdyby o naszem współudziale w dziełach architektury na Wielkopolskiej ziemi podawała w przyszłości historya sztuki tyle, co przy starych zabytkach w Galii lub Panonii że wszystkie wystawili tylko Rzymianie. Ci zaś panowie świata. z pewnością prócz pomysłów i kierownictwa budowli, niczego innego nie dostarczyli, pozostawiając robociznę narodom podbitym i niewolnikom.

Czyż to nie można było zainicyować np. budowy seminaryum duchownego przez rozpisanie konkursu w pismach naszych? Do wypośrodkowania potrzeb miejscowych i udzielenia bezinteresownej rady przy ustawieniu programu do takiego konkursu znalazłyby się odpowiednie osobistości, a wyrażamy mocne przekonanie, iż do opracowania tego nie zbyt trudnego zadania na miły apel z góry wydany stawiłby się niejeden odznaczony już architekt z pruskiego zaboru i z Galicyi. Ile to pięknych budynków w Galicyi, albo też w Królestwie przychodzi przez konkursy do skutku!

Przeciwko konkursom nadmienićby można, co już słyszeliśmy nieraz, iż one nie wydają czasem dodatniego rezultatu, a urządzenie ich jest mozolne i z większemi kosztami połączone. Na to odpowiedzieć można, co następuje: Główną podstawą i rękojmią korzystnego rezultatu w każdym konkursie jest jasny program i wyrażenie w nim wszystkiego, co się przez zamierzoną budowę osiągnąć pragnie z onaczeniem kosztów w przybliżeniu. Zmusza to do należytego wykonania wszelkich robót przedwstępnych, przeciwko czemu u nas bardzo grzeszyć się zwykło. Uznaną zaś jest w budownictwie rzeczą, iż skrupulatnie wykonane prace przedwstępne z dokładnem oznaczeniem kosztów, nie przekraczających możności budowlodawcy, umożliwiają zwykle zaprowadzenie znacznych oszczędności przy wykonaniu; na nie więc wydatków żałować nie należy. Przed rozpoczęciem budowli powinno na papierze wszystko aż do wykonania w surowcu być zupełnie obmyślone, nawet urządzenie wewnętrzne co do kosztów scharakteryzowane; natenczas wyklucza się z góry zbytnie przekroczenie preliminowanych kosztów. Dla *architektów* może być rezultat konkursów takich o tyle ujemnym, o ile w nich, jak to się np. w Niemczech często zdarza, zbyt wielu bezskutecznie udział bierze i za wiele pracy nie wynagrodzonej na marne idzie; dla rozpisującego konkurs wszakże rzadko pozostaje tenże bez rezultatu, nic zaś nie informuje budowlodawcy tak dokładnie o możliwości rozwiązania zadania architektonicznego w sposób przeróżny, jak różne prace dostarczone na konkurs. Ztąd też w Niemczech na wszelkie większe projekty architektoniczne, należące do zarządów gminnych, lub kościelnych, rozpisują zwykle konkursy, które już wielu nieznanym talentom na wierzch wybić się pozwoliły. Jeźli zważymy jeszcze, iż konkursy w innym razie możliwą protekcyę pojedyńczych osób wykluczają, to objektywnie rzeczy biorąc, zbyt wiele znajdujemy powodów, które i u nas za większem, niż dotąd przeprowadzeniem konkursów i na polu architektonicznem przemawiają

Innym błędem, będącym w związku z ladajako przeprowadzanemi robotami przedwstępnemi, jest sposób dochodzenia do projektów przez nasze organy kościelne. Często stawiają one za *conditio sine qua non*, że prace przedwstępne, a mianowicie projekt i kosztorys nic nie mają kosztować — zwłaszcza, jeźli projektodawca wykonanie budowli otrzyma. W takich warunkach, jeźli podjemca sam nie jest o tyle architektem, żeby odnośny projekt i jego szczegóły mógł opracować, to musi się udać do architekta jakiego, zadawalniającego się rolą kopciuszka, którego podjemca, mając widoki odbicia się przy budowli, opłacić musi, gdyż trudno przypuścić, żeby architekt, który wiele czasu i nakładów poświęcił na studya akademickie, miał kilka tygodni lub miesięcy nad pracami przedwstępnemi, bez wszelkiego wynagrodzenia prześlęczeć.

Że takie stanowisko architekta jako głównego pomysłodawcy i wobec budowlodawcy i wobec wykonującego podjemcy jest poniżającem, o tem sądzę, rozwodzić się nie potrzeba. Zgubniejszem wszakże dla przeprowadzenia prawidłowego jakiejś lepszej budowli jest, gdy organa kościelne, chcąc sobie budowanie jak najwięcej ułatwić, uznają za stósowne oddać podjemcy wykonanie budowli „ryczałtowo“ za jakąś umówioną sumę. Wtenczas choćby nawet przybrano do nadzoru architekta, jak się nieraz dziać zwykło, to ten w charakterze nadzorcy wiele nie pomoże, chyba od najgrubszych błędów budowlę ochroni; wykonanie przy takiej procedurze dla oka znawcy pozostawia zwykle wiele do życzenia, zwłaszcza, jeźli za robotę ceny przez submisyę obniżono. Nieraz zdarza się, iż ryczałtowy podjemca, chcąc koniec z końcem związać, przybiera sobie ku zgorszeniu ludu przeróżnego rodzaju obcych robotników, nie zważając ani na ich narodowość, ani religią, ani

prowadzenie; potem zaś, gdy ci mu się ulotnią, pozostaje naszym rzetelniejszym rękodzielnikom łatanie dziur w udziale.

Gorzej jeszcze dziać się zwykło, gdzie podjemcę, nie będącego architektem, pozostawią dozory kościelne, uważając siebie za dość kompetentne, ze względów fałszywie zrozumianej oszczędności bez żadnego nadzoru architektonicznego, którego brak przy końcu budowli odbiorem przez królewskiego budowniczego zasłonić się starają. „Oszczędność“ tę przy nadzorze posuwają nawet dozory kościelne tak daleko, iż do poniesienia połowy kosztów odbioru zniewalają podjemcę i to z polecenia władzy, nie zważając na to, w jak niemiłe położenie przez takie zastrzeżenie stawiają odbierającego architekta względem podjemcy. Braku zawodowego nadzoru i gruntownej znajomości rzeczy nie zastąpią często choćby jak najlepsze chęci i zabiegi gorliwych członków dozoru.

Podobnie, jak w innych zawodach, wytwatzają się dziś i w budownictwie pewne specyonalności, jak o tem za granicą przekonać się można. Tylko u nas nastąpił tu w ostatnich czasach zwrot jakoby w innym kierunku: pospiech gorączkowy i dyletantyzm z jednej strony a brak zaufania do swoich rozwielmożniają się coraz więcej. Niejeden „lajek“ u nas będzie miewał wykłady o wszelkich sztukach, a o budowie choćby i kościołów katedralnych będzie rozprawiał z miną znawcy; inny znów będzie chciał budować wszystko tylko w „czysto gotyckim stylu“, a z dalszej rozmowy z nim, jeżliś ciekawy, przekonasz się, że ani pojedyńczych stylów pomiędzy sobą rozróżnić nie umie. Śmiałbyś przeciwko czemukolwiek zaprotestować, to biada ci ty fachowcze o ciasnych poglądach: lekceważący uśmiech politowania dostanie ci się w udziale.

Ztąd to pochodzi, iż przypatrzywszy się bliżej różnym nowościom na naszem polu sztuki kościelnej, przyznać musieliśmy słuszność i innym kompetentnym znawcom, którzy mówili: Co za szkoda tych pieniędzy, które przy umiejętniejszem kierownictwie korzystniej i ku większemu zbudowaniu przyszłych pokoleń mogły były być obrócone!

Ograniczając się dziś na tych uwagach ogólnych, pomijamy już szczegółowy temat o restauracyi lub przebudowaniu naszych kościołów, uważając go za najtrudniejszy z przedmiotów architektonicznych; spodziewamy się później powrócić do niego osobno. Jako na zastraszającą wszakże próbkę tego, co u nas pod względem niezajomości rzeczy przed 9 laty zdziałano, wskazujemy na ową dobudówkę kaplicy przy kościele św. Marcina w Poznaniu, której radzilibyśmy się przypatrzeć bliżej. Moglibyśmy wspomnieć inny jeszcze poważny nasz zabytek z XV wieku, o którego „restauracyi i upiększeniu“, podjętych w najlepszej chęci, ale w dyletancki sposób, znawcy ze śmiechem — jakby anegdotki jakie — opowiadają; lecz wolimy i tę sprawę zachować sobie do późniejszego omówienia.

Czyż wobec tego, cośmy przytoczyć uważali za konieczne, — a twierdzenia nasze moglibyśmy poprzeć przykładami, nie uznamy w interesie i religijnym i narodowym energicznego działania jakiego grona znawców rzeczywistych z takim programem, jaki sobie wytknęło np. Stowarzyszenie św. Andrzeja Boboli, za konieczne? Albo też, podd jemy tę myśl, czy nie byłoby i u nas — jak to już istnieje w Galicyi — na czasie, ażeby w związku z Towarzystwem Przyjaciół Nauk, albo też ze względu na rząd odrębnie dla siebie założyć grono podzielonych na powiaty lub dekanaty konserwatorów, do którychby odnośne organa kościelne w razie zamierzonej budowy lub restauracyi po radę zgłaszać się mogły? Na rząd nie mamy się co oglądać, a przynajmniej nie spodziewajmy się w naszych sprawach od niego inicyatywy. Wiele już prowincyi w Niemczech ma przez rząd ustanowionych konserwatorów. My dostaniemy konserwatora pono ostatni; a jeżli on nie będzie naszym rodakiem, czyż spodziewać się możemy po nim zamiłowania do zabytków przeszłości naszej? Sami raczej zabierzmy się — ale odpowiednio — do rzeczy, to i rząd prędzej przyjdzie nam może w pomoc.

Przypominamy, iż o podobnych do kwestyi poruszonych projektach, rozprawiano u nas zeszłego roku na wiecu katolickim i uchwalono nawet dość daleko sięgającą rezolucyą; dotychczas wszakże z niej nie wprowadzono w życie niczego.

W interesie sztuki naszej i sztuki kościelnej stawiamy zapytanie do Władz naszych duchownych i poddajemy pod ich rozwagę, czy wobec wielu spraw budowlanych, przychodzących ciagle pod rozstrzygnięcie konsystorzy arcybiskupich, nie odczuwają potrzeby, ażeby w nich obok syndyka z równemi jak i on prerogatywami był ustanowiony i zasiadał radzca architekt dyecezyalny, któryby żywem słowem przy debatach w sprawach budowlanych niejedno łatwiej i prędzej wyświecił, aniżeli wzywany z po za konsystorza znawca przez piśmienne sprawozdania lub opinie piśmienne dokazać może. W wielu innych dyecezyach dawno już urzędnika takiego konsystorze posiadają; czyż u nas architekturę, w związku z kościołami będącą, uważa się jako coś tak podrzędnego, że dla niej fachowy decernent jest nie potrzebny? Fundusze przecież na cel tak ważny i u nas znaleśćby się powinny.

A dalej, czy nie byłoby na czasie, aby przyszłym kapłanom naszym, jako mającym później wnijść w styczność najbliższą ze sztuką kościelną, podczas pobytu w seminaryum przez odpowiednie wykłady dać dyrektywę w tym kierunku jak sprawy budowlane lub odnoszące się do sztuki kościelnej prawidłowo traktować należy? I to dzieje się w Niemczech oddawna, dla tego też tam dalej pod tym względem postąpiono, niż u nas.

Oddajemy te myśli i poruszone sprawy pod bliższą rozwagę kół i osób, do których one należą, z tą niepłonną zapewne nadzieją, iż zmiana, a przynajmniej naprawa dotychczasowego kierunku, niezgodnego ze zapatrywaniami innych narodów i z postępami na polu budownictwa, powinna i u nas wkrótce nastąpić.

Jacz.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„*Postęp*“ pisze w Nr. 34 w artykule pod tytułem „Stronnictwo ludowe“:

„Dawniejsza walka arystokracyi i demokracyi, to bój był duchowy, który posuwał pojęcia czasu za postępem. Zwolennicy przestarzałych zapatrywań, czuć się muszą dziś bardzo słabymi, gdy do wyzwisk się uciekają, jakich się widocznie od swoich fornali nauczyli. O toby zresztą była mniejsza, ale smutna, że we wir tej walki wciągnięto duchownych przywódzców, kapłanów naszych. Gdyby ci mogli się przyjrzeć fermentowi, gdyby mogli posłyszeć szemrania, i nie samych słuchali faryzeuszy i pochlebców, przekonaliby się łacno, jak się zapatrywania na niekorzyść kościoła zmieniają.

Otwarcie nam mówią, że Rzym i kapłani nas zdradzają, obawiamy się nie bez podstawy, ażeby wpływy duchownych nie osłabły i nie stracił na tem kościół. Lud widząc, że gdy ci, którzy na czele jego stanąćby w interesie jego powinni, występują przeciwko niemu, szemrze po cichu, a z tego ludzie przewrotu wybijają kapitał, jakoby kościół przeciwny był wolności i łączył się z gnębicielami ludu. Wahałem się z tem odezwać, ażeby nie przewrócono kota do góry nogami i „Postępu“ za masona nie okrzyczano. Toć „Kuryer“ w tem mistrzem nad mistrzami. Ale darmo, tylko prawda ocalić nas może. Dziś prawda w ludzie, który nie chce w wybujałym lojaliźmie szukać zbawie-

---

PRZED JUTREM.

Trudno bez żalu patrzeć na zagładę
Dawnych form bytu, do których przywykły
Oczy i serca, tak zatrzymać rade
Na fali czasu cień przeszłości nikły.

Trudno nie boleć, widząc jak zamiera
To, z czem za młodu byliśmy związani...
Jak naszych uczuć, naszych dążeń sfera,
Powoli w ciemnej nurza się otchłani.

Lecz boleść nasza z dniem się kończy naszym
I pośród świata długo nie zagości —
I rozpaczliwą skargą nie odstraszym
Tryumfalnego pochodu przyszłości.

Przyszłość ma prawa silniejsze i przed nią
Ustąpić musi teraźniejszość zwiędła,
Chociaż chce chwilę przedłużać poprzednią
I trwać w postaci w jaką się oprzędła.

Próżno się czepia obumarłych tkanek,
I w nich kształt przyszły więzić się wysila —
Z martwej powłoki w nowy życia ranek
Przyszłość na skrzydłach wyleci motyla.

Świat zrzucić korę zbutwiałą pospiesza
Bo ją rozsadza młoda, silna, zieleń —
Nienarodzonych niezliczona rzesza
Z niecierpliwością czeka chwili wcieleń.

Nowe uczucia, myśli, ideały,
Nowe kierunki, nowe firmy istnień,
Cwiartują łona, co je rodzić miały,
Aby przyspieszyć dzień urzeczywistnień.

Ci, którzy patrzą na dzisiejszy przełom
Pod nowych haseł i dążności wodzą,
Muszą złorzeczyć bezlitośnym dziełom,
Któremi dzieci w pierś macierzy godzą.

Musi ich trwożyć ten szalony zamach,
Który pozornie zrywa wszystkie węzły,
I w zacieśnionych nie mieści się ramach
Pojęć, co w martwym zastoju uwięzły.

A przecież cała ta burzliwa siła
To zawsze tylko ciąg przyszłości dalszy —
W jej łonie dawno jako zaród tkwiła,
Pragnąc osięgnąć rozwój doskonalszy.

Więc choć się zwraca przeciw swej macierzy
I straszy ojców swem potwornem licem,
Do pnia wspólnego pokoleń należy
I dawnych prądów prawym jest dziedzicem.

Gdy się na światło dobędzie z ukrycia,
Spadnie z niej kształtów pierwotnych ohyda —
I pojednana z warunkami życia
Świeża latorośl, świeże kwiaty wyda.

I to, nad czego boleliśmy stratą,
Znów odświeżonym zajaśnieje bytem,
Łącząc przeszłości spuściznę bogatą
Z nowych porywów młodzieńczym rozkwitem.

El...y

Styczeń 1895.

FRANCISZEK RAWITA.

ANDZIA.

NOWELA.

(Dokończenie.)

Potem ręką sięgnęła machinalnie do paska. — Któraż to godzina? — spytała zakłopotana — Już czas, ażeby Jutrzenka do odwrotu mię zaprosiła.

- O, nie czas jeszcze! nie! — zawołał Janek, — zostań, zostań jeszcze!

Wydobyła zegarek i spojrzała.

— Druga minęła... późno...

— Coś innego jednak ciężyło jej na sercu. Chowając przeto zegarek rzekła do niego pieszczotliwie:

— Ty jesteś dziecko, ale... dobre dziecko.

W tej chwili spojrzenie jej zatrzymało się na podłodze, u nóg leżała chusteczka, która przy wyjmowaniu zegarka wypadła. Zrobiła ruch, ażeby ją podnieść, ale Janek schylił się szybko i chusteczkę pochwycił.

Noc wyciągnęła rękę. Janek obracał śliczną batystową chusteczkę na wszystkie strony.

nia, ale w postępie i oświacie, w pracy nad zachowaniem narodowości, którą lojalizm zabija.“

—

„Gazeta opolska“ donosi w nr. 12 w artykule p. t. „Szykana bez końca“:

„Z Katowic dochodzi nas znowu krótko przed zamknięciem redakcyi niniejszego numeru wiadomość, że policya rozwiązała tam w niedzielę posiedzenie Towarzystwa przemysłowców, a to z tego powodu, że zjawił się na posiedzeniu pewien przybysz z Poznańskiego, który w Katowicach proceder golarski prowadzi (i z Niemką żonaty jest) i stanął w głębi sali. Panu komisarzowi zaraz to podpadło i zapytał po cichu prezesa, czy nowo przybyły do Towarzystwa należy? Prezes widząc, że się na jakąś burzę zanosi, zapytuje się gościa, czy go kto wprowadził, w innym razie wyprasza go ze sali. Na to pan ten podchodzi do prezesa i zaczyna się tłomaczyć, poczem powstaje komisarz i rozwiązuje posiedzenie, nie dawszy temu panu czasu się wytłomaczyć, ani prezesowi do użycia innych środków. Zainterpelowany komisarz, dla czego rozwiązał posiedzenie, powiedział, że dla tego, żeśmy pana tego nie usunęli ze sali. Gdybyśmy byli nieproszonego gościa gwałtem wyrzucili, czego uczynić zaraz nie mogliśmy, gdyż pan ten nie usiadł i tylko stojąc dalej się chciał tłomaczyć, byłaby prawdopodobnie wytworzyła się burda, co by może niejednemu bardzo było na rękę. Pan komisarz tak naglił do opuszczenia sali, grożąc przekroczeniem prawa, że członkowie nawet piwa wypić, ani częściowo zapłacić nie zdążyli...“

—

W *„Gazecie Toruńskiej“* (nr. 32) czytamy:

„Tutejsza „Presse“ donosi, że towarzystwo katolickich czeladników rzemieślniczych obchodziło w niedzielę urodziny cesarskie. Mowę okolicznościową wygłosił prezes, chwaląc sprawiedliwość monarchy, który wszystkich poddanych równie kocha. Mówca skończył — tak donosi „Presse“ — okrzykiem na cześć cesarza, który zgromadzeni z zapałem powtórzyli.“

—

„Gazeta Grudziadzka“ podaje następujący ciekawy przyczynek do historyi niemiecko-polskich stosunków:

Pod Gnieznem w mieście W. powstała w dzień urodzin cesarza w lokalu publicznym karczemna bójka, wywołana napaścią i nietaktem komisarza policyjnego, germanizatora pierwszej klasy. Przy stole zrobił on uwagę nauczycielowi Z., że powinien być Niemcem, gdy się z Niemką ożenił. Pan Z. odparł tę napaść z godnością, odpowiadając, że kto się urodził Polakiem, umrzeć też Polakiem powinien. Wtedy komisarz rozkazał nauczycielowi J., aby uderzył w twarz kolegę. J. usłuchał tego rozkazu! zaco w odwecie odebrał taki policzek, że spadł z krzesła. Wtedy mości komisarz, zapominając o własnej godności, a może zbyt ufny w nią, uderzył kijem w głowę pana Z., który mu w zamian (w obronie życia własnego) nakładł, ile się zmieściło.

Sprawę przyjął prokurator i ciekawa rzecz, jak się skończy, — tymczasem nauczka dla wszystkich, aby nie obchodzić urodzin cesarskich przy kieliszku i lepiej za te pieniądze, obetrzeć łzy niejednemu nędzarzowi, których dzisiaj tak wiele.

—

W sprawie głośnej deklaracyi ks. arcybiskupa Stablewskiego, odrzucającej wszelką odpowiedzialność za artykuły „Kuryera Poznańskiego“, a podanej do wiadomości publicznej przez ks. kan. Echausta, zamieszcza *„Orędownik“* następujące uwagi:

„Po przeczytaniu tych deklaracyi mimowoli nasuwa się pytanie: czy one nie przyszły zapóźno? „Kuryer“ od lat czterech dość wyraźnie powoływał się przy wielu sprawach na powagę ks. Arcybiskupa, na jego „życzliwość“, na to, że jest organem duchowieństwa. Ks. Arcypiskup sam osobiście mieszał się w rozmaity sposób do spraw czysto narodowo-politycznych. Pytanie: czy niektóre artykuły w „Kuryerze“ pojawiają się w tem piśmie z pióra, czy polecenia, czy natchnienia ks. Arcybiskupa? — oddawna zaprząta umysły publiczności. Dla tego „Orędownik“ już przed dwoma laty, dobrze oceniając sytuacyę, stawił „Kuryerowi“ pytanie: czy jest organem ks. Arcybiskupa, czy nie?

Dziwna rzecz, że wtedy, kiedy sytuacya nie była zbyt naprężona, kiedy więc odpowiedź była łatwa, na to pytanie odpowiedziano „Orędownikowi“ nie w „Kuryerze“, ale w pałacu arcybiskupim i to w sposób wprost karczemny! a dziś, kiedy położenie jest bez porównania trudniejsze, kiedy już rozpowszechnionym poglądom i uprzedzeniom trudno skutecznie zapobiedz, dziś dopiero decyduje się ks. Arcybiskup na to, żeby się publicznie wyrzec artykułów Kuryera“. Dwóch lat zatem potrzebowano tam, aby dać jasną odpowiedź na pytanie, oddawna rozłożone jak na talerzu.

Bądź co bądź lepiej, że deklaracya nastąpiła późno, aniżeli, gdyby jej wcale nie było.

Dowiedzieliśmy się zatem z listu ks. kanonika Echausta, że ks. Arcybiskup nie odpowiada za artykuły „Kuryera“.

Na tem bynajmniej sprawa jeszcze nie załatwiona. Z deklaracyi ks. kan. Echausta przebija obawa, aby przez wciąganie w polemikę Stolicy arcybiskupiej nie poniosła szkody powaga duchowieństwa i wogóle powaga naszego Kościoła. Obawa ta jest niestety aż nadto uzasadnioną. Należy wszakże pamiętać, iż nie tylko pism jest obowiązkiem unikać wciągania Stolicy arcybiskupiej w polemikę, ale także jest obowiązkiem ks. Arcybiskupa nie mieszać się do spraw czysto świeckich i politycznych w takiej formie i w takim kierunku, że pismo polskie, które się szanuje, musi uważać za swój święty obowiązek wystąpić z całą otwartością i potrzebną energią przeciw bezpośredniemu czy pośredniemu wpływaniu ks. Arcybiskupa na nasze świeckie sprawy narodowe.

Deklaracya ks. kanonika Echausta sprawy całej nie wyczerpuje także. Przecież o sam artykuł „Kuryera“, napisany z powodu cesarskich urodzin, nie chodzi, ale o całe stosy artykułów. Ks. kan. Echaust jest prezesem Rady Nadzorczej drukarni „Kuryera“, z którą wydawnictwo „Kuryera“ jest ściśle związane. Jakież to tam jest gospodarstwo, kiedy ks. prezes Rady Nadzorczej dziś dopiero tak stanowczo się odzywa w swym organie, skoro został do tego zmuszonym przez list ks. Arcybiskupa.

Zaprawdę nie ma czego powinszować ks. kan. Echaustowi i gdyby chciał być konsekwentnym i politycznie rozważnym, to powinien zawczasu złożyć urząd prezesa Rady Nadzorczej, bo przy niepomyślnem ukształtowaniu się stosunków może się znaleźć w położeniu, że będzie musiał częściej podobne deklaracye składać. Uwagę tę czynimy nie żeby mu dawać rady, ale ze względu na naprężone u nas stosunki.

—

„Goniec Wielkopolski“ nawiązując do uwag „Sulli“ o „Sokołach“ tak pisze w numerze 29:

„Jeżeli teraz grono amatorów pragnie dać koncert publiczny na budowę sali, to witam myśl tę z uznaniem dla nich i dla Zarządu „Sokoła“, ale przyznacie mi, że myśl ta jest urywkową, — chwilowym zapałem; pokażcie mi głębszy plan prędkiego dojścia do zamierzonego celu? Czemu częściej nie ma takich koncertów? Czemu tak rzadko odbywają się wieczornice? Czemu nie zaprosicie panowie Polek do udziału w pracy agitacyjno-organizacyjnej?! Dla czego Zabór pruski nie ma dotąd swego „Przewodnika sokolskiego“, w którymby każdy czerpał wiedzę i nowiny o „Związku“? Przecież lwowski dawno nam już nie wystarcza. Rozpocznijmy w tym roku nowym zdwojoną pracę, starajmy się wszelkiemi siłami ciągle o nasz rozwój, a wtenczas ujrzym niebawem wraz ze Sullą owę salę własną, do której zapewnewne wszyscy wzdychamy gorąco.“

—

Przegląd prasy słowiańskiej.

W Czerniowcach na Bukowinie poczęło wychodzić nowe pismo rusińskie p. t. *„Bukowinski Widomosti“*. W artykule wstępnym, zatytułowanym: *„Naszi cili i stremleneja“* (dążenia), piszą:

„Nowe dziesięciolecie nie dobrze się poczęło dla austryackiej Rusi. W Galicyi, gdzie Rusini stanowią liczebnie znaczną większość, mają przewagę polityczną Polacy. Tam ruscy posłowie galicyjscy zrobili z Polakami ugodę, mocą której nie wolno im skarg podnosić publicznych na ucisk języka rusińskiego, ażeby Polacy dobrowolnie rozszerzali prawa naszego narodu. Od tej ugody rozpoczęła się t. z. nowa era. Rusińscy ugodowcy dotrzymali swej obietnicy, przestali występować śmiało i odważnie w obronie swego narodu, zaniechali walki, której celem było usunięcie krzywd ruskiej narodowości — a Polacy doskonale pojęli, o co posłom rusińskim chodzi. Jednemu dali dobrą parafią, drugiemu tłustą posadę komornika, trzeci otrzymał pensyą, synowie nowoerystów zdobyli różne zapomogi i stypendya, a lud ruski otrzymał — gruszki na wierzbie. Ba — jeden z nowoerystów (poseł Romańczuk), który przejrzał tę politykę, odrzekł się swego dziecka — nowej ery, nazwawszy ją publicznie zgubą rusińskiego narodu.

„Lubo tego można się było na samym początku spodziewać, to nowa era pobałamuciła wielu Rusinów bukowińskich. Ci z naszych bukowińskich małodusznych Rusinów, którym straszną była wiadomość o prawa narodowe, myśleli, że jak się pobratają z Polakami, to bez trudu, małym kosztem zdobędą i dla nas znaczenie, a sami porobią interesy tak dobre, jak galicyjscy nowoeryści.

— Mam początek tajemnicy! — zawołał.

Noc uśmiechnęła się.

— I owszem... zgaduj...

Na jednym z rogów chusteczki była wyhaftowana bogatym szerokim haftem — który rozszerzał się jako rama i tworzył niejako ornament jedna litera. Czerwono wyszyta w tych ramach ozdobnych wyglądała jak ptaszek w klatce. Była to litera A wyhaftowana drukarskim sztychem. Całość wyglądała bardzo ładnie i oryginalnie. Noc pozwoliła mu wpatrzyć się i ciekawość zaspokoić.

— Czy to twoje imię?

— Moje...

Zamilkła na chwilkę, jakby się wahała.

— Chcesz wiedzieć? Powiem ci... jutro zapomnisz... Andzia...

— Pozwolisz mi tę chusteczkę zatrzymać?

— Nie... tego nie rób — rzekła łagodnie z akcentem smutnego zamyślenia — jeżeli chcesz mieć pamiątkę tej krótkiej chwili, którą spędziliśmy razem, dam ci co innego...

Odpięła bukiecik niezapominajek w fałdy domina wpięty, i podała mu.

— Przypomnij o mnie, gdy mnie już nie będzie... — rzekła.

Janek pocałował ją w rękę, i sprawiło mu to tak wielką przyjemność, jakiej przedtem nigdy nie doznawał. Ona na pocałunek odpowiedziała mu uściskiem. Zamilkła i w zamyśleniu na salę patrzyła tak uważnie jak gdyby zabawa była dla niej życiem, a jedynem pragnieniem utonąć w tym wirze. Tylko oczy Andzi błyszczały nie radością lecz smutkiem.

Odwróciła się nagle do niego, gwałtownym, gorączkowym ruchem rękę swoją na jego ręku położyła i patrząc mu w oczy, mówiła:

— Wiesz, ja jestem kobietą nieszczęśliwą. Pan Bóg jedną ręką wyposażył mię bogato, hojnie... dał mi duszę wrażliwą na poezyę, piękno, pozwolił wszystko ukochać, co tylko jest dobrem i szlachetnem na świecie, a drugą ręką wszystko to zakrył przed ludźmi...

Janek nie widział twarzy tej kobiety, ale drżenie głosu odbijało się o jego uszy akordami rozpaczy i łez.

— Nie rozumiem ciebie... — rzekł półgłosem.

— Może to i lepiej... Byłam zbyt odważną, licząc na to, że mnie nie poznasz nigdy...

— Dla czegóż nigdy?

— Będzie to lepiej dla ciebie i dla mnie... przepraszam... dla mnie tylko... bo znam ciebie już oddawna, nie znając.

— Zaczynasz mię dziwić swoją tajemniczością...

— Tak? — zaśmiała się wymuszonym śmiechem. — A... widzę Jutrzenka mię szuka... pora do domu.

Uchwyciła go gwałtownym ruchem za rękę.

— Ach, wiesz co? Napisz w moim notesiku kilka słów. Dobrze?

— Dobrze.

Wydobyła notesik, ołówek wyciągnęła gorączkowo i otworzywszy książeczkę, Jankowi podała.

— Tu... tylko wyraźnie.

Gdy Janek ołówek ujął w rękę, Andzia nachylała się i na białą kartę notesiku patrzyła.

Janek napisał: Miłość jest szczęściem.

— Szczęściem?!... — powtórzyła ostatni wyraz jak echo. Wzięła od niego ołówek, punkt postawiony przez Janka, przeciągnęła w kreskę i dopisała: i rozpaczą życia.

Janek przeczytał ten dopisek, ale Andzia schowała szybko notesik i jakby pragnęła rozmowę zakończyć, powstała z siedzienia i rzekła spokojnym głosem:

— Podaj mi rękę... chodźmy — spotkamy się z Jutrzenką.

Janek uczuł drżenie nerwowe ciała swojej towarzyszki.

— Co ci się stało? — zapytał wzruszony.

— Nic, ach nic... cóż się na balu stać może złego? Bawiliśmy się przez chwilę, a teraz rozstaniemy się.

Zbliżyła się właśnie Jutrzenka.

— Jedziemy Andziu?

— Jedziemy... Idźcie naprzód... spotkamy się przy drzwiach garderoby.

Napłynęła fala masek i rozdzieliła towarzystwo.

„Dla tego to chcą u nas na Bukowinie ci Rusini połączyć nas z Polakami i Niemcami, licząc na pomoc potężnych Polaków galicyjskich. Taki sposób nie prowadzi do dobrego, bo Polacy dla Rusinów nigdy nie byli szczerymi (!). Mając dwóch ministrów, bezpośrednich doradzców Najjaśniejszego Pana, Polacy, gdyby byli dla Rusinów szczerymi, mogliby wiele dobrego zdziałać. Ale jeżeli tego nie robią dla Rusinów galicyjskich, z których ziemi sami żyją, to cóż spodziewać się po nich nam Rusinom bukowińskim? Z tego, że ten lub ów nowoerysta zostanie bez nauki wielkiej profesorem lub inspektorem szkólnym, narod rusiński nie utyje, a ludzie zasmakowawszy raz w mamonie, dobrymi synami swego narodu być nie mogą, lecz przeciwnie dla mamony gotowi stać się niewiernymi synami. Tym sposobem szerzy się zgnilizna i wiedzie naród do zguby...

„Nasz lud na Bukowinie to przejrzał, z natury jest on szczery i podstępem oraz chytrością pogardza, to też rychło chyli się ku upadkowi stronnictwo nowoerystów. Stara partya rusińska taki sobie wytyka program działalności politycznej: spokojne pożycie z jednowiercami prawosławnymi Rumunami, niezawisłość naszej Bukowiny od Galicyi; obronę języka rusińskiego, słowiańskiego pisma, cerkiewno etymologicznej pisowni, co najważniejsza obronę naszej prawosławnej wiary-..“

* *
*

Cetyński „*Glas Crnagorca*“ (nr. 4) wyszedł w żałobnej obwódce z powodu śmierci wojewody Nowicy Cerowicza. Tygodnik czarnogórski taki poświęca zmarłemu artykuł:

„Właśnie w dzień św. Sawy, największego święta serbskiego, umarł w Tuszyni przy swym pradziadowskiem ognisku w późnej starości wojewoda Nowica Cerowicz.

W początku zimy donoszono, że stary „Noko“ choruje — tak go w przeszłości zwał cały naród od domu władyki do kolebki w szałasach czarnogórskich — a liczył on już lat 90: ale jego zdrowie i wstrzemięźliwość życia wróżyły mu długi żywot: myśleliśmy, że pożyje między nami dłużej znakomity starzec.

„Widać Bogu się inaczej podobało i Nowica otoczony synami, oddał swoją wielką, gorącą, serbską duszę Bogu.

„Nie starczy nam miejsca i czasu, abyśmy dokładnie opisali dziś żywot słynnego junaka i wojewody, owego dobrego i pierwszego wodza ludu, owego wielkiego Serba, zasłużonego Czarnogórca. Trzebaby napisać epopeję przebudzenia się wielkiej serbskiej myśli na serbskiem południu.

„Ród Cerowiczów stoi już oddawna na czele drobniackiego plemienia. Pop Milutyn Cerowicz wstąpił w przymierze z Cetynią za czasów Piotra. Wielki wojewoda Atanko Petrowicz zaprowadził u Drobniaców sądy czarnogórskie.

„W roku 1840 ubił Nako Smaila-agę z 40 Turkami, gdy tenże chciał zabierać haracz, odtąd to Drobnica przyłączoną została do Czarnogóry. W roku 1852 brał on udział w słynnej obronie monasteru Żupy. Jak go władyka cenił, tego dowodem, że Drobniaków uwolnił od płacenia podatków dopóki żyć będzie Nowica. Prosił go, aby żył w Cetynii, ale junak wolał żyć i umierać w rodzinnem gnieździe Tuszynie, bywał jednak co rok jako miły gość u księcia Nikity. Nowica odbywał studya w żupskim monasterze, a gdy było trzeba, pisał jasno i jędrnie: najwięcej mu się podobała historya Rzymian.

* *
*

„*Slovenski Swet*“, organ Słowińców tryeststeńskich pisze o projektowanej przez rząd reformie wyborczej:

Najgłówniejszem zadaniem rządu w porze obecnej jest to, aby rozwiązaną została w pierwszym rzędzie kwestya narodowościowa. Że się Słowianie sprzeciwiają reformie projektowanej, pochodzi ztąd, iż do obecnego rządu nie mają zaufania, aby kwestyą tę sprawiedliwie rozstrzygnął. Widzimy też wyraźnie, że będące u steru stronnictwa uważają reformę wyborczą za środek mający ich nadal u władzy utrzymać. Robotnicy, gdyby byli świadomi obecnej sytuacyi, żądaliby razem z nami rozstrzygnięcia kwestyi narodowościowej, bo potem łatwiej byłoby dla nich zbliżyć się do upragnionego celu.

K.

Pokój i rozbrojenie

(„*Friede und Abrüstung*“
Gustaw Biörklund.)

Najogólniej, najpowszechniej w całej Europie odczuwanem pragnieniem jest bez zaprzeczenia pragnienie pokoju. W uczuciu tem jednomyślnie łączą się wszystkie stany, stronnictwa, klasy społeczne.

Wszyscy monarchowie wyrażają je w swych orędziach i mowach tronowych, a szczerości ich bynajmniej podejrzywać nie mamy prawa — choć z drugiej strony wiedzą oni dobrze, że słowa miłością pokoju natchnione znajdują w całym narodzie sympatyczne echo i najpewniej poklask zdobyć im mogą.

Obok tego uczucia jednak istnieje jeszcze i drugie, prawie równie ogólnie doznawane przez wszystkich członków obecnych społeczeństw, z wyjątkiem może właśnie głów ukoronowanych. Jest niem wzrastające niezadowolnienie ludów gniecionych ciężarem militaryzmu. Dla zabezpieczenia pokoju państwa zbroją się, a zbroją się kosztem ostatecznych wysiłków materyalnych swych poddanych, którzy coraz większemi ofiarami okupywać muszą upragnione dobro.

Prąd ten nie ustaje ani na chwilę: nie ma roku, aby rządy nie apelowały do ofiarności ludów, aby parlamenty nie zwiększały ogólnych ciężarów, i łatwo przewidzieć chwilę w której staniemy wobec trudnej do rozwiązania zagadki, którą wybrać z dwóch dróg równie nieuchronnie do zguby wiodących. Nikt zresztą nie łudzi się co do położenia, rysuje się ono zupełnie wyraźnie. Wojna czy pokój zbrojny, jedno i drugie znaczy tyle, co klęska, upadek, bankructwo i spustoszenie. Zdawałoby się wobec tego, że dążenia ligi pokojowej — myśl rozbrojenia powszechnego, projekt międzynarowych sądów rozjemczych — powinny szybko zyskiwać szeroką popularność i zjednywać cale zastępy gorliwych, energicznych i przekonanych wyznawców.

Dzieje się jednak przeciwnie. Propaganda pokojowa mało zdobywa adeptów nie dla tego zapewne, aby jej dążenia sympatyą się nie cieszyły, lecz dla tego, że nikt w ich urzeczywistnienie nie wierzy.

Płynie to znowu wyłącznie z zakorzenionego przyzwyczajenia umysłowego. Pokój powszechny, rozbrojenie, sądy międzynarodowe — to utopia, mówią. Jak daleko sięgają historyczne wspomnienia ludzkości, istniały wojska i walki; państw nieuzbrojonych nie było nigdy, więc ich też nigdy nie będzie. Argument to zresztą dość słaby dla rozumu, niezwalczony dla wyobraźni. Rozum uczy nas, że po wszystkie wieki, a nawet za naszej pamięci zjawiały się na powierzchni ziemi rzeczy, których nigdy przedtem nie było. Każda z tych rzeczy była niegdyś utopią, zanim się stała, rzeczywistością lub zanim podobne do niej przynajmniej fakta się nie ukazały.

Ponieważ nic podobnego do rozbrojenia nie widzieliśmy jeszcze, więc go sobie wyobrazić nie umiemy. Doświadczenie uczy jednak, iż nie jest rzecza niemożliwa uwierzyć w istotne czy rzekome utopie i wiarą taką masy natchnąć

Ledwie do połowy salonu doszli, stanęła przed nimi kwiaciarka.

— Daj mi jaką drobnostkę... — prosiła.

Wybrał najtańszy bukiecik ze stokrótek, zapłacił zań dwadzieścia pięćgroszy, które wkieszeni posiadał i czuł się tak uszczęśliwionym, jakgdyby cały świat do piersi przytulał.

Przed drzwiami garderoby pożegnał Andzię.

— Maski nie zdejmiesz?

— O, nie! To moje szczęście chwilowe!

Nie zrozumiał do czego ściągały się te wyrazy.

— Kiedyż się zobaczymy?

Ona pomyślała przez chwilę i odrzekła stanowczym głosem:

— Nigdy.

— A jednak do widzenia!

— Niech to, co napisałeś, stanie się dla ciebie prawdą.

Znikła we drzwiach garderoby, a Janek stał niby oszołomiony. Muzyka grała jeszcze mazura, słychać było komendę, tupanie nogami, wybijanie hołubców, ale to wszystko snem mu się wydawało. Z tego stanu pół-jawy obudził go Zyzio,

— Chodźmy... wszystko skończone...

— Chodźmy...

Janek był roztargniony, zamyślony, smutny — tak mu żal było, że rozmowa z tą nieznajomą Andzią, która go tak żywo zainteresowała, urwała się nagle, rozpłynęła się jak echo w przestrzeni i już się nigdy nie powtórzy. Czuł, że w jego duszy ślad jakiś pozostał, znak, rysu, ot taka jaką piorun zostawia na korze drzewa, gdy draśnie je od szczytu do korzeni. Chodził po sali, jak żołnierz na warcie, drzwi pilnując z tą myślą, że jeszcze raz ją zobaczy. Zyzio spostrzegł ten niezwykły stan kolegi.

— Słuchaj — rzekł poufale, biorąc go za ramię — zbaławaniałeś zupełnie... chodźmy już... głodny jestem...

— Poczekaj... ona jeszcze wyjdzie...

— Kto? co ci Bóg dał?!

— Andzia...

— Zwaryowałeś... puść ją kantem i kwita! Solski z herbatą...

Drzwi otworzyły się i Janek jak z procy rzucił się ku nim.

— Idzie... — zdołał tylko szepnąć.

Na progu ukazała się Andzia, ale w masce. Janek podał jej ramię.

— Odprowadzę cię do powozu... — rzekł.

— Dziękuję...

Schodzili powoli ze schodów, nic nie mówiąc do siebie, ale kroki ich i ruchy zgadzały się zupełnie. Widocznie pragnęli bodaj czas schodzenia przedłużyć.

Zeszli nareszcie...

Nie pozwolisz mi poznać ciebie?

— Nie, nigdy! Chcę zostać w twojem wspomnieniu Andzią, ażebyś zatrzymał te wrażenia jakie odebrałeś, abyś się łudził...

Janek przerwał niecierpliwie:

— Ach, ciągle mówisz o złudzeniach... o złudzeniach!

— Wolę je niż... rozczarowania.

Zajechała kareta. Janek przyprowadził Andzię do drzwiczek i na pożegnanie w rękę pocałował. Nie broniła się, przeciwnie, uścisnęła jego rękę gorąco i serdecznie. Już jedną nogą na stopniu stanęła... on pomagał jej wsiadać... odwróciła się jeszcze raz ku niemu i rzekła:

— Dziękuję...

Pochyliła się i ciszej dodała:

— Kochaliśmy się przez chwilę bezwiednie.

Rozległ się trzask drzwiczek i równocześnie konie ruszyły.

Janek stał przez chwilkę nieruchomy. Smutek i żal go ogarnęły jak gdyby tracił coś bardzo drogiego dla siebie, a równocześnie mignęła mu myśl, jak błyskawica: skończyło się.

W tej chwili uczuł mocne szarpnięcie za ramię.

— Chodź, waryacie, bo cię jeszcze kto dyszlem potrąci!

Janek wrócił trochę do równowagi i — poszli. Rozmowa, świeże powietrze, chłód nocy uspokoiły jego nerwy. Szli, rozmawiając. Minęli Wierzbową, przecięli w poprzek Królewską i naprzeciwko pałacu Kronenberga na Mazo

— dla tego też i przyjaciele pokoju nie dają za wygraną i szukają środków dla rozszerzenia swej bądź co bądź wielce humanitarnej propagandy.

W tym celu sztockholmski związek pokoju ogłosił konkurs na rozprawę, rozstrzygającą pytanie: „Jakim jest najwłaściwszy środek dla wywołania silnego międzynarodowego prądu przeciw panującemu militaryzmowi?“

Na pytanie to zebrano 112 odpowiedzi, najliczniejsze napłynęły z Ameryki (24), zresztą zabrali głos w tej kwestyi przedstawiciele różnych narodowości i różnych sfer społecznych. Jakkolwiek pytanie dotyczyło, jak widzimy, wyłącznie prawie praktycznej strony pokojowej akcyi, jednakże z konieczności poruszyć musiano wiele takich punktów, które na całą sprawę światło rzucają,

Najlepszą rozprawę nadesłał Richard Reuter z Naumburga nad Saalą, ponieważ jednak i współzawodnicy jego dość trafne czynili uwagi — sąd konkursowy uznał za słuszne wydrukować obok całkowitej pracy nagrodzonej, ciekawe wyjątki z innych odpowiedzi.

Przedmowa zawiera treściwą i trafną krytykę obecnego położenia. Ofiary ponoszone na uzbrojenie chybiają celu, gdyż ściągają na kraj w innej postaci te same klęski, od których uchronić go mają.

Pokój zbrojny jest chroniczną formą tego samego cierpienia, które w wojnie objawia się w sposób gwałtowny.

Wojna niszczy plony pracy produkcyjnej narodu, pokój zbrojny pozbawia go tychże samych plonów, uniemożliwiając ich wytworzenie. Rozkłada on tylko na cokolwiek dłuższy przeciąg czasu też same straty ekonomiczne, z tą jednak różnicą, że niejedna z dawniejszych wojen kosztowała kraj nie więcej, niż dziś całoroczne utrzymanie armii, Kampania 1859 roku np. nie pociągnęła dla Austryi większych ofiar, niż obecne jej roczne wydatki na cele wojskowe.

Toż samo wykazać można co do ubytku ludności. Wedle obliczeń autora, gdyby ludzi dziś stojących pod bronią zatrudnić produkcyjną pracą, mogliby oni wytworzyć ilość środków do życia wystarczającą dla utrzymania liczby ludzi w trójnasób przewyższającej liczbę wojska w każdem państwie. Po za tem służba wojskowa wywołuje dziś znaczną emigracyą, a dalej przyczynia się do zwiększenia śmiertelności w kraju, pogarszając jego ekonomiczne warunki, wiadomo bowiem, że śmiertelność stoi zawsze w prostym stosunku do nędzy.

Ponieważ zaś przy obecnym rozwoju międzynarodowych stosunków ekonomicznych klęski jednego kraju dotykają w pewnej mierze i wszystkie inne, każdy z nich ponosi straty nie tylko z własnych, lecz i z cudzych wynikające uzbrojeń.

Te wszystkie ofiary nie okupują celu, gdyż bynajmniej nie zabezpieczają niezależności państwa na zewnątrz. Słabsze organizmy państwowe podlegają zupełnie w tym samym stopniu przewadze silniejszych, co dawniej, przy mniejszych wydatkach na armią, jakkolwiek bowiem mogą dowolnie podwyższać jej bezwzględną siłę i wielkość, nie mogą zmieniać jej względnej wielkości w stosunku do armii państw sąsiednich. Żaden kraj zresztą nie jest tak silnym i bogatym, aby w danym razie nie mógł się okazać stroną słabszą. Ani małe państewka nie są bezpieczne przed napaścią wielkich potęg, ani też owe pierwszorzędne potęgi nie mogą zdobyć niezawodnych i niemylnych środków przeciw koalicyi sąsiadów. Słowem mimo uzbrojeń nikt żadnej gwarancyi na przyszłość nie posiada. To, jak widzimy, chybione dążenie do zabezpieczenia politycznej niezawisłości, okupuje się osobistą wolnością obywateli. W dawnych czasach po wojnach strona zwycięzka zagarniała kraj obcy i obracała poddanych jego w niewolników, dziś rząd własnych poddanych pozbawia swobody, odrywając ich od pracy i ognisk domowych, a zaciągając pod cesarskie lub królewski sztandary.

Dawniej zwycięzcy bogacili się rabunkiem w kraju podbitym, później nakładali na niego kontrybucye - dziś rządy, obciążając naród podatkami, pozbawiają go owoców jego pracy. Nie możemy się nawet pocieszać myślą, że gdy w pierwszym wypadku ulegaliśmy przemocy najezdnika, w drugim dobrowolnie przyjmujemy na siebie ciężary. Różnica jest tylko pozorną; wystarcza, aby jedno państwo podwyższyło stopę siły zbrojnej, a przez to samo zmusza wszystkie inne do wstąpienia w jego ślady, pośrednio więc kontrybucye na obcych poddanych nakłada.

Wniosek ostateczny taki, że w miarę, jak chronimy się przed zewnętrzną niewolą i uciskiem wzmagamy ucisk i niewolę na wewnątrz.

Propaganda pokojowa chcąca oddziaływać na społeczeństwo, powinna zdaniem Reutera uwzględniać dwie główne jego kategorye. Do pierwszej zalicza stronnictwa konserwatywne i rządy, zwłaszcza zaś te, które zewnętrznemi formami konstytucyjnemi maskują autokratyczne dążności. Jeżeli ta grupa społeczna zapewnia o swem pragnieniu pokoju — śmiało jej uwierzyć można, jeśli jednak ubolewa nad ciężarem militaryzmu, podać musimy jej szczerość w podejrzenie, ponieważ nigdy nie uczyniła jeszcze żadnego kroku celem zmniejszenia złego. Przyczyny tu zresztą są dość jasne, potrzeba utrzymania znacznych sił odpornych na przypadek obcego najazdu stanowi w znacznej części jej racyą bytu i podstawę jej przewagi na wewnątrz.

Drugą kategoryą stanowią masy narodu, szczerze sympatyzujące z pokojowemi dążnościami Ligi, lecz zachowujące się wobec nich biernie w braku wiary w ich zwycięztwo. Na tę właśnie kategoryę głównie oddziaływać należy, — z biernej mamy utworzyć siłę działającą i czynną a przez nią dopiero wywrzeć nacisk na rządy i konserwatywne żywioły, stanowiące tychże rządów podporę.

Przemawiając do tłumów, należy jednak zdaniem autora strzedz się wszelkiej przesady. Przyjaciele pokoju w zapale swoim niejednokrotnie w ten błąd popadają i przedstawiają przyszły stan rzeczy w tak różowych barwach, tak rajskie obrazy ustroju społecznego malują, że przez to samo budzą w słuchaczach i czytelnikach wątpliwości. Jeden fakt, choćby i najdonioślejszego znaczenia, nie zmienia natury ludzkiej, która wciąż się doskonaląc, nigdy przecież jednym zamachem przeistoczyć się nie da. Należy zatem dla przekonania sceptyków przedewszystkiem kłaść nacisk na możliwe reformy i konieczne, niewątpliwe korzyści. Wszelkie odezwy, demonstracye, zbiorowe wystąpienia są niewystarczającym środkiem agitacyi. Budzić one mogą chwilowy entuzyazm, lecz trwałego wpływu nie wywierają. Odpowiedzieć celowi może tylko akcya wytrwała, nieustanna, ciągła i niezrażająca się niczem. Dla tego radzi Reuter uczynić kwestye stopniowego rozbrojenia stałym przedmiotem obrad parlamentarnych. Sprawa ta poruszana w ciałach prawodawczych znalazłaby musiała donośne echo w organach prasy wszelkich narodowości i wszelkich odcieni, podczas gdy roztrząsana wyłącznie przez partyjne organa dochodziłaby do wiadomości tych tylko, którzy i tak zapatrywania Ligi pokojowej podzielają.

Międzynarodowa komisya powinnaby zdaniem Reutera zredagować memoryał zawierający zestawienie postulatów przyjaciół pokoju oraz wskazówki do przeprowadzenia ich w praktyce. Memoryał ten, zatwierdzony przez kongres pokoju, opatrzony podpisami wybitniejszych osobistości, przetłómaczony na wszystkie języki, powinien być rozesłany do reprezentantów stronnictwa w każdym kraju i użytym jako program

---

wiecką weszli. U Wróbla świeciło się jeszcze.

— Zajdźno kup serdelków... chleb u Solskiego będzie z pewnością... — odezwał się Zyzio.

— Nie mam pieniędzy.

— Jakto nie masz? Przecież zostało dwadzieścia pięć groszy.

Janek zmięszał się.

— No, tak... ale... kupiłem bukiecik dla Andzi...

— A niechże cię pioruny siarczyste! Jabym teraz właśnie niedźwiedzia zjadł ze skórą!

— I ja także...

O, poeto! poeto!

Na szczęście u Solskiego zastali herbatę i chleb.

* * *

Nie dużo upłynęło wody w Wiśle od tej maskarady, bo płynęła tylko do wiosny.

Janek daremnie sobie suszył głowę nad odgadywaniem kim była owa tajemnicza towarzyszka rozmowy na maskaradzie. Wiedział o niej tyle tylko co i dawniej: że się nazywa Andzia. Bukiecik niezapominajek na pamiątkę poznania się z nią starannie chował. Pisał do niej strzeliste sonety, jak do Laury, rozpytywał kolegów, którzy wszystkie najpiękniejsze Andzie w całej Warszawie pokazywali mu, ale tamtej odszukać nie mógł, a byłby ją w piekle poznał po oczach,, po głosie, po całej pwie.

Wreszcie zacierać się poczęła w pamięci. Bukiecik otrzymany zwiędł dawno i zasuszony między kartami statutu litewskiego, drzemał w oślą skórę ściśnięty, marząc o przeszłości. Przyszła wiosna, a z wiosną odżyło niedawne wspomnienie. Chodził tedy do Łazienek, do Pomarańczarni, do Królikarni, zapuszczał się w głąb cienistych, samotnych alei w tej nadziei, że Andzię spotka. Jakże się cieszył na zamą myśl o tem, że ją spotkać może! Bo że ją pozna, tego był pewny!

Nie spotkał jednak...

W końcu maja na dziedzińcu uniwersyteckim ujrzał pędzącego ku sobie Zyzia.

— Szukałem ciebie właśnie! — zawołał kolega.

— Cóż takiego?

— Awantury arabskie! Czytałeś dzisiaj notatkę o samobójstwie, w której były tylko pierwsze litery wymienione: A... N...

— Ale cóż takiego u licha? — krzyknął zniecierpliwiony Janek.

— Przypominasz sobie tę twoją Andzię z maskarady? Pokazało się teraz dopiero, że była rozpaczliwie brzydką...

Janek uczuł przy tych słowach drgnięcie serca.

— No, i cóż się stało?

— Nie żyje!

Okropnie go zabolała ta wiadomość. Zbladł, zesztywniał i zaciekawione spojrzenie utkwił w kolegę, jak gdyby na dalsze wyjaśnienie czekał.

— Czy być może?

— Najświętsza prawda... ale wiesz w jakich dramatycznych okolicznościach...

Jankowi stanęła w myśli śliczna postać Andzi, która niezatarte wspomnienie zostawiła w jego duszy. Słyszał jej głos srebrny, słodki, łagodny; widział jej spojrzenie pełne rozumu i głębi; przed oczyma jego przesuwała się alabastrowa białość i piękność form jej ręki; czuł ciepło i gibkość jej kibici, kiedy się pochylała ku niemu swobodnie jak dziecko, — i nie umiał tego pogodzić ze słowami kolegi: „rozpaczliwie brzydka“...

Czy to prawda? Czy to być może?

Zapanował nad sobą całą siłą woli i spytał spokojnie:

— I cóż to za awantura?...

— Wyobraź sobie, była to córka bardzo bogatych rodziców, wykształcona, rozumna, ale fatalnie brzydka. Posiadała zupełnie małpią twarz, zasianą brodawkami czarnemi, z których ciągle wyrastały włosy, wargi miała mięsiste i wydęte jak Hotentotka...

Janek słuchał tego z gorączkowym niepokojem.

— I cóż? i cóż? — naglił.

— Otóż dziś znaleziono ją w łóżku umarłą... otruła się. Na stoliku leżał notesik otwarty z głupią sentencyą: Miłość jest szczęściem — i rozpaczą... Uważasz? co za nonsens? Po prostu nie giczność kobieca. Prawda?

— I cóż dalej?

— Obrk bukiecik stokrotek...

ich działalności z pewnemi naturalnie modyfikacyami, odpowiedniemi do warunków lokalnych.

Dalej przechodzi autor kolejno stanowisko różnych narodów względnie do kwestyi uzbrojeń, stwierdza fakt, że wszędzie uchwaliły w ostatnich czasach parlamenty znaczne pozycye na cele militarne z tą różnicą jedynie, że w niektórych krajach opozycya była słabszą, w innych silniejszą — wszędzie jednak niedostateczną.

Zdaniem jego żadna opozycya parlamentarna w odosobnieniu działając, wzrostu militaryzmu powstrzymać nie może, każda bezsilną jest wobec powoływania się rządów na grożące krajowi niebezpieczeństwo. Tylko połączona akcya wszystkich ludów wpłynąć może na zbawienną reformę, działając równocześnie na wszystkie rządy.

Przyczynę złego upatruje autor we Francyi, tu już naturalnie porzuca stanowisko objektywne, a sąd jego zaćmiewają narodowe niemieckie uczucia. Jeżeli bowiem zupełną przyznać mu możemy racyę, gdy twierdzi, że nieustanne zbrojenie się datuje od ostatniej francuzko-pruskiej wojny, że punkt wyjścia dla niego stanowi antagonizm dwóch wówczas bojujących stron, to może jednak słusznie byłoby winę złożyć na Niemcy, które dokonawszy zjednoczenia swego kosztem sąsiadów, wytworzyły w Europie ferment i nieufność wzajemną, która dziś skłania wszystkie rządy do podtrzymywania kosztem olbrzymich ofiar sztucznie sklejonego pokoju.

Z drugiej strony twierdzi, że Francyi najtrudniej byłoby wystąpić z propozycyą rozbrojenia, gdyż idea odwetu zapuściła tam głębokie w narodzie korzenie; może patryoci uczuliby się dotknięci w swej narodowej godności, gdyby rząd zbyt łatwo zrzekł się praw swych do utraconych prowincyi i nadziei rehabilititacyi francuzkiego oręża. W tym względzie jednak myli się podobno, jeżeli sądzić wolno z przytoczonej w temże dziełku odpowiedzi francuzkiego publicysty, który utrzymuje, iż pragnienie pokoju jest we Francyi bardzo powszechnem i bardzo silnem, a jedynie obawa niemieckiego najazdu skłania ludność do uchwalania militarnych wydatków.

Wiele łatwiejsze, zdaniem Reutera, byłoby położenie rządu niemieckiego, który też zupełnie śmiało z propozycyą stopniowego rozbrojenia wystąpićby mógł, gdyby zechciał. Jednakże o jego dobrej woli wątpić. — i nie bez racyi. „Rząd niemiecki — mówi on — reprezentuje i wciela w wyższym stopniu niż każdy inny zasadę militaryzmu, tj. zasadę, iż wojsko nietylko ku obronie przed zewnętrznym nieprzyjacielem służy, lecz ma na celu również podtrzymanie w kraju pewnego politycznego systemu i pewnych politycznych dążeń, że zatem militaryzm, gdyby nawet był zupełnie zbytecznym ze względu na bezpieczeństwo kraju — sam przez się w wysokim stopniu na poparcie zasługuje.“ — „Ma on na celu — mówi dalej — utrzymanie przeciwwagi do konstytucyjnych swobód i wzmacnianie atrybucyi władzy w wewnętrznych stosunkach ponad prawem dozwolone granice. — Ztąd wynika niechęć panujących do wszelkiej pokojowej propagandy.

Mimo jednak znacznej przewagi niemieckiego rządu, wobec silnej międzynarodowej akcyi pokojowej uledzby on musiał — i uczynić pod przymusem krok, który dobrowolnie podjęty okryłby go sławą. Największą zaporę dla sprawy rozbrojenia widzi autor w Rosyi. Wynika to w prostej linii z panującej tam autokratycznej formy rządu, która jedynie dzięki militaryzmowi utrzymywać się może. Zresztą zapora ta nie jest niezłomną, gdyż wobec nacisku koalicyi europejskiej i Rosya ustąpićby musiała.

Pominiemy uwagi zawarte w wyjątkach z innych odpowiedzi, zważywszy, że praca Reutera najbardziej wyczerpująco kwestyą przedstawia. Ciekawi czytelnicy znajdą je w omawianem dziełku, lub w jego polskim przekładzie, który prawdopodobnie wkrótce się pojawi. Sądzimy, iż obudzić ono powinno szerokie zainteresowanie, gdyż nacisk obecny militaryzmu oddziaływa potężnie na wszystkie stosunki, dotyka osobiście każdego z członków społeczeństwa i nikomu obojętnym być nie może.

Zauważymy tylko ze swej strony, że jak kolwiek działalność przyjaciół pokoju nie jest pozbawioną racyi bytu, jakkolwiek urzeczywistnienie ich pragnień nie jest bynajmniej niemożliwością, jednakże stoją oni zaledwie u wstępu drogi do celu wiodącej, a droga to trudna i daleka. — Tak trudna i tak daleka zresztą, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zanim staną u kresu, militaryzm dosięgnie punktu kulminacyjnego swego rozwoju i doprowadzi do przewidywanego przesilenia. Humanitarne prądy międzynarodowe o wiele słabiej, o wiele powolniej podkopują jego potęgę i znaczenie niż on sam, dążąc ze wzrastającym wciąż rozpędem, do granic niemożliwości i absurdu, gniotąc i miażdżąc po drodze wszystkie cenne cywilizacyjne zdobycze, na które ludzkość przez wieki pracowała, i których wydrzeć sobie nie da. — On to właśnie jest owym żywiołem przewrotowym, który podtrzymuje stały ferment w życiu europejskich ludów i gromadzi w niesłychanej ilości materyały palne do przyszłego wybuchu. Gdyby wybuch ów uprzedzić można przez rozumne i stopniowe reformy, niewątpliwie ludzkość zyskałaby na tem i uniknęła wielu klęsk i strat niepowetowanych.

Historya jednak uczy nas, że działalność reformatorów najrozumniejszych zawsze najsilniejszy napotyka opór, a idee ich zwyciężają dopiero wtedy, gdy złe dojdzie do najwyższego stopnia i stanie się widocznem nawet dla zupełnych krótkowidzów umysłowych, z których w przeważnej większości ogół się składa. Dla tego też nie przez reformy pokojowe, lecz przez rewolucye i przesilenia zdobywała ludzkość najważniejsze na swej drodze posterunki, a historyą jej rządziły nie wysiłki i ofiary bohaterów idei, lecz nieuchronne prawa wedle których, co się przeżyło, upaść musi choćby ku swej obronie dzierżyło krocie armat i miliony bagnetów.

Iza Moszczeńska.

LITERATURA I SZTUKA.

Witold Pruszkowski.

(Ciąg dalszy.)

Tenże sam pisorym poświęcił „braciom lakiernikom i farbierzom“ (tak malarzy zwali młodzi członkowie cechu literackiego) inny poemat, z którego tylko początek uniknął zagłady. Pięć strofek sześciowierszowych nie zajmie na tyle miejsca, aby ich nie przytoczyć:

Gdzie się te dawne podziały czasy
Gdy Kraków sławą brzmiał na wsze strony,
Kiedy krakowskie pyszne kiełbasy
O prym z włoskiemi szły salcesony,
Kiedy słynęły krakowskie krupki,
Fama krakowskiej rosła przekupki!

Wtedy to, wtedy, wśród cechów wiela,
Wzniósł swoje czoło i cech malarski,
A gdzie zabrzmiała tylko kapela,
Kędy się ozwał krakowiak dziarski,
Tam szewc i rzeźnik, młynarz z tokarzem
Razem tańczyli z bratem malarzem.

Bo kunszt malarski nad inne sławny,
Posiadał afekt wielki u braci,
I miał przywilej od wieków dawny,
Że choć nie słynął z dziarskich postaci,
Ale w rozumie to wszystkim sprostał.
Ba! nawet szewc się przed nim nie ostał.

— Co ty mówisz?!

— Tak jest... opowiadał mi to naoczny świadek...

— Biedne dziecko! — zawołał Janek.

— Poczekaj... jeszcze nie wszystko... napisała do rodziców sentymentalny list... „Drodzy moi! Najdrożsi! Przebaczcie mi... nie mogłam dłużej się męczyć, nie mogłam. Pokazywać ludziom codziennie twarz satyra, patrzyć na uśmiechy pełne obrzydzenia, słuchać najpospolitszych dowcipów i żartów, i mieć duszę inną... Pan Bóg mię stworzył na nieszczęście wasze i moje. Wiem, że źle robię. Każdy kto mnie zrozumie, nie usprawiedliwi mię, ale przebaczy. I wy mi, moi drodzy, przebaczcie... Mogłam się zdobyć na odwagę odrazu wszystkie smutki zakończyć, ale nie miałam odwagi chodzić codziennie z niemi, zamykać je tak głęboko, ażeby nikt nie domyślał się, co mnie boli i dla czego — nie mogłam...“

Gdy skończył mówić, Jankowi serce ścisnęło się niewypowiedzialnym smutkiem i żalem, jakby kogoś bardzo drogiego stracił. Domyślał się, że tą Andzią, która z tęsknoty za szczęściem, uciekającem od niej jak motyl ciągle płoszony, odebrała sobie życie, była istotnie ta sama Andzia, z którą kilka godzin na balu maskowym spędził; zrozumiał to czego wówczas zrozumieć nie mógł, i żal mu się zrobiło tej pięknej duszy, jakby za karę zamkniętej we wstrętnem więzieniu. A jednak do tego więzienia on dotarł i rzucił jej przez kraty kilka słów życzliwych, kilka stokrotek...

Szli milcząc. Janek nie spowiadał się przed kolegą ze swoich domysłów, wrażeń, uczuć, chociaż czuł, że i jego osoba niepoślednią rolę grała w tym dramacie nieznanej rodziny.

Milczenie przerwał Zyzio.

— I pomyśleć sobie, że ten potworek, który był pośmiewiskiem ulicy, odebrał sobie życie z miłości! Czyż ją kto mógł kochać?... Ale może ona kochała.

Janek odwrócił się nagłym ruchem do kolegi rękę wyciągnął i rzekł:

— Do widzenia...

— Cóż się tobie tak spieszy? Chcesz, pójdziemy teraz zobaczyć jej portret, wystawiony w oknie redakcyi...

— Nie, dziękuję ci... nie pójdę.

— Ależ to ciekawa rzecz... mówią, że okropnie brzydka.

— Ach, daj mi pokój! Nie dla wszystkich to ciekawe.

— Zaczynasz patrzyć z wyższego stanowiska — zauważył zjadliwie Zyzio.

Janek ani słówka nie odpowiedział, skinął tylko głową i poszedł; dopiero później wyrwał mu się przez zaciśnięte zęby wyraz:

— Głupiec!... ty sobie życia nie odbierzesz, nie!

Franciszek Rawita.

Z ŻYCIA ARTYSTY MALARZA.

(*Według pamiętnika Jakóba Emila Schindlera*).

Było to w lecie 1892roku. Każdemu wiadomo, iż wysoki protektor i mecenas sztuk pięknych, książę Regent bawarski, zwiedza codziennie wystawę w Glaspalaście. Pewnego jednak dnia wysoki ten gość pojawił się, prowadząc pod rękę człowieka, którego żywość oraz oryginalny sposób wyrażania się, już z oddali zwracały uwagę.

W sali oddziału austryackiego, przed całą seryą obrazów, człowiek ten zrobił ruch, jakby zamierzał uciekać i tylko obecność księcia Regenta skłonić go mogła, iż z wyraźną niechęcią zmuszony był im się przyglądać. A właśnie te oto obrazy artyści monachijscy uznawali za najlepsze z całego austryackiego oddziału...

Człowiekiem tym był właśnie Schindler, wzdrygający się pokazać księciu swe własne utwory.

W ten sposób zapoznaje czytelnika A. Spier — z artystą.

Schindler po długiej niemocy wybierał się właśnie na Sylt, w przejeździe zaś odwiedził ulubione sobie Monachium i odnowił znajomości. Zanim wyjechał w tę podróż — mówi

Więc króle, pany, możni biskupi,
Cech ten protekcyą twoją wspierali;
Bywało naraz niejeden kupi,
Nawet w Sukiennic ogromnej halli,
W pośród kapusty, jajec i rzepy,
Czterech malarzów dzierżało sklepy.

Nawet Jan Trzeci jednego chował
W zamku krakowskim przy swoim dworze,
I klucznikostwo mu konferował,
By przy obrazach odbywał stróże,
A gdyby który z nich się nadpsował
Dał reparacyę w tymże kolorze...

Dalej szła paralela między dawnymi malarzami, a dzisiejszymi, z której naturalnie ci ostatni srodze wyszli pokrzywdzeni. Charakterystyka, nie polecająca się bynajmniej doborem wyrazów (co zresztą nie leżało w interesie autora), była, rzecz prozta, żartem, dowodzącym jasno harmonii i stosunków ściślejszych pomiędzy lakiernikami i farbierzami, glicernistami (rzeźbiarzami), rymarzami (wierszorobami), i szmaciarzami (dziennikarzami). Zjawiali się czasem w ich gronie i muzycy: cymbaliści od fortepianów i baraniarze od skrzypiec. I dalipan, na te smutne czasy było w tem gronie dość wesoło!

Czem ongi dla literatów i artystów warszawskich były „górka“ w cukierni teatralnej, tem w Krakowie dla krakowskich dzieci muz wszelakich była przez czas pewien kawiarnia Dyktarskiego na ulicy Sławkowskiej, a później Rehmana w Krysztoforach. Tak naprzód w pierwszej, jak później w drugiej o pewnych godzinach było tak tłumno, że miejsca znaleźć nie było można. Ale grono literacko-artystyczne zawsze miało swój kącik, w którym żywe prowadziło dysputy. Żart za żartem, anegdota za anegdotą, sypały się jak z rękawa, przerywane partyą szachów lub bilardu. Najstalszymi gośćmi z artystów bywali: Gadzio (Walery Gadomski), Stach (śp. Stanisław Lipiński), Fajtłapa (Benedyktowicz). Koniec (Koniuszko), Abramek (Abramowicz), Jacek (Malczewski), Biuszbander (po francuzku czytany Buchbinder), starzy profesorowie: Löffler i Szynalewski, a z młodszych jeszcze: Fałat, Piotrowski, Wyczołkowski i D. Abramowicz „wielki łowiec w Panu“ przeplatał rozmowę myśliwskiemi wyrażeniami i wybornie naśladował styl biblijny. Gadomski przy wrodzonym dowcipie miał na zawołanie pełną torbę anegdot. Koniuszko „z cicha pęk“ mało dysputował, ale jak czasem uciął, to śmiech się rozlegał po całej sali. Benedyktowicz w żartobliwej utarczce słownej każdemu dotrzymał placu i cytował wszystkich znanych i nieznanych poetów Szynalewski, trochę głuchy, mało się wtrącał do rozmowy, ale miał zajęcie, bo jako zapalonemu numizmatykowi przynoszono mu zawsze jaki stary pieniążek do pokazania; przypatrywał się przez lupę, aż odkrywał często, że jestto grosz wytarty, a nawet guzik spłaszczony i śmiano się z podejścia, ale poczciwy stary nie gniewał się i brał znów pod lupę, co mu przyniesiono.

Rej w tem gronie wodził zawsze Pruszkowski. Póki kozaka nie było, widocznie wszystkim czegoś brakowało. Toczyła się jakaś żywa dysputa, to nikt lepiej od niego ognia dolać nie umiał; jak trzeba było kpić, to kpił za dziesięciu; potrzeba było gdzieś z jakąś opozycyą wspólną wystąpić a zgody powszechnej na nią nie było, to dopóty dowodził, dopóki nie było ochoty już nie do jednej, ale do dziesięciu naraz opozycyi. Zawołany szachista, kiedy siadł do partyi, to tworzyła się zaraz cała galerya przypatrująca się walce o życie króla jegomości; nawet pan Michał (Bałucki), choć to szachista pierwszej wody, musiał wznosić sztuczne okopy i palisady, zachować wielką spójnię między walczącymi oddziałami i bezpieczne obmyśleć królowi schronienia, aby wytrzymać i odeprzeć silne, a całkiem niespodziewane, przeciwne wszelkim regułom natarcie kozackie. Nie dał się Pruszkowski i zaczepiającym go „rymarzom“; sam dosiadał pegaza i odpowiadał im z humorem, nie zbyt elegancko, ale we formie poprawnej. Miał przytem broń drugą. Od czasu do czasu przyniósł na małym kawałku papieru czyjąś karykaturę, wykonaną akwarelą; nie wiele się nad nią męczył, zapewne robota ta w ciągu kwadransu była wykończoną, ale „obraz i podobieństwo“ danego osobnika były mimo przesady tak świetne, że każdy skarykatyrowany sam śmiał się najserdeczniej i drżał tylko o to, aby karykatura, przechodząc z rąk do rąk nie ulotniła się wśród oglądających, bo na siódme przykazanie w tym wypadku mało zwracało się uwagi.

Tak samo jak u Dyktarskiego i Rehmana wodził rej Pruszkowski i na innych zebraniach. Czasem, kiedy była ochota ku temu, przenosiła się garstka artystów i przyjaciół do mieszkania Pruszkowskiego przy końcu ulicy Szewskiej, które zajmował z paru kolegami; w późniejszych czasach do Wyczołkowskiego, lub drzeworytnika Napiorkowskiego. Odbywał się na poczekaniu wieczorek artystyczny z kolacyjką o studenckiej ilości i jakości. Było coś przypominającego piwo i coś pokrewnego kiełbasie, znalazło się i trochę „wody życia“ i bułek pół kopy, czasem musiał wystarczyć tytoń i herbata. Chyba, że „flota“ komuś nadpłynęła, to ukazał się i ser i szynka się rumieniła i „deszczówka“ z butelek lała się do kieliszków. Na wety Benedyktowicz deklamował, nie pamiętam kto grał na skrzypcach, Mroczkowski udawał rozmaite zwierzęta, Buchbinder świetnie naśladował szlifierza i stolarza, a wszyscy wrzescie darli się niemiłosiernie, co urzędową nazwę śpiewu choralnego nosiło. W przerwach szły anegdoty, (żadnej nie wolno było powtórzyć pod karą „fundy“), wesołe opowiadania i zażarte dyskusye. Kiedy jedni sprzeczali się i dowodzili nieomylności swych zapatrywań, drudzy na poczekaniu rysowali portrety karykaturalne. Najświetniejsze były Pruszkowskiego. Pamiętam n. p. portret Buchbindera w trzech minutach ołówkiem narysowany. Znany ten dziś i cieszący się uznaniem malarz monachijski, miał prawie zawsze minę uśmiechniętą, zadowoloną. Otóż Pruszkowski, przy fotograficznem prawie podobieństwie twarzy, zadowolenie owo wzniósł do takiej potęgi, że chyba jak świat światem, nikt więcej zadowolonego człowieka nie narysował. W karykaturach jego był ten rys znamienny talentu, że zachowując ścisłość proporcyi, chwycił jakąś drobną, ledwie dającą się dostrzegać odrobinę komizmu i położywszy na nią nacisk główny, zamierzony efekt wywoływał. Pamiętam parę jego portretów olejnych, dla przyjaciół robionych, przy których kończeniu „Chochlik“ humorystyczny do figlów go namawiał. Jednemu z tych przyjaciół losy dały nos nazbyt czerwony; na portrecie, wykonanym przez Pruszkowskiego koniec nosa tak jarzeje, tak bucha płomieniem, że chciałoby się od niego zapalić cygaro; środkiem ku temu była nietylko farba czerwona, ale umyślnie zastosowane oświetlenie. Drugi z tych przyjaciół miał włosy nieco kręcące się i tworzące jakoby loczki nad czołem; warto było zobaczyć jaki efekt komiczny z tych loczków wydobył Pruszkowski. A oba te portrety i były podobne i miały wartość artystyczną.

Na tych dyskusyach i zebraniach nietylko bawiono się i dowcipkowano. Kiedy Siemiradzki ofiarował swe „Pochodnie“ nawiązek Galeryi obrazów polskich, a kilku artystów poszło zaraz za jego przykładem (Pruszkowski dał swoje świetne „Rusałki“) postarano się z pewnej strony rzecz spaczyć, a raczej zamienić galeryę na muzeum. I rzeczywiście dokonano tego. Czy ta przemiana była złą czy dobrą, o to nie idzie; owszem, dzisiejsze muzeum narodowe rozmiarami swemi wykazuje, że myśl jego założenia była na czasie i pożytek przyniosła. Ale z początku mała była wiara, aby ten pomysł się udał, zwłaszcza, iż projektodawcy statutu muzealnego chcieli widzieć w muzeum „odlewy z pomników i kopie z obrazów“, co było już całkiem przeciwne temu, czego pragnął Siemiradzki i czego pragnęli ci, co go w ofiarności naśladowali. Im szło przedewszystkiem o to, aby najznakomitsze utwory polskiej sztuki współczesnej mogły mieć swoją stałą przystań, aby kraj, idąc ręka w rękę

Spier — rozmawiał ze mną wiele: o swych projektach, o malarstwie, o przyszłości, o swych wielkich moralnych cierpieniach i walkach, o rozczarowaniach, rozwoju, najczęściej jednak o owym moście, przez który prawie każdy artysta przechodzić musi, o owym, jak go nazywał, „moście westchnień“, który się zwie inaczej „muzeum“. Uskarżał się, że niema wrodzonego daru do „interesów“, do „reklamy“ i skutkiem tego ogromna jego działalność artystyczna tak małe daje mu „realne“ rezultaty, a przecież on dąży do „niezależności materyalnej“, do tego tak potężnego w życiu artysty czynnika, i t. p.

Dnia 30 lipca udał się Schindler na Sylt, a w dwie doby potem nadszedł do prezydenta Künstlergenossenschaftu telegram lakoniczny: „Schindler zmarł nagle“. I zawieszono już złoty medal, przez „jury“ przyznany, na spowitych krepą i laurem ramach wielkiego obrazu zmarłego artysty, zatytułowanego: „Pax“.

* * *

Teraz spojrzyjmy na kilka stronnic pamiętnika z r. 1879 — 1881, tego niepospolitego artysty — a przekonamy się, jak „słodkie“ musiało być życie człowieka, któremu serce bić przestało właśnie w tej chwili gdy mu przyznawano „medal“, t. j. urzędowe uznanie — nadzieję „cen lepszych“!

14 marca 1879 r. Wczoraj przyniesiono płótno pod „Burzę“, niema go czem zapłacić. Żądają 40 guldenów. Co się tym ludziom marzy... Ach! gdybym to ja mógł mieć 40 guldenów...

15 marca. Nieład w pracowni, piece dymią, usposobienie smutne, ani grosza!

17 marca. Nie możemy opłacić sługi, jednak mam nadzieję... obym tylko nie zachorował.

18 marca. Stara bieda, pracuję jednak dalej.

20 marca. Wieczorem wypowiedziano mi mieszkanie. A zatem wynosić się muszę. Pozostało nam 2 guldeny na czysto. Zawsze przecież lepiej idzie. Anna, żona moja, robiąc sprawunki, zgubiła resztę z tych dwóch guldenów. To nie „pech“, to prawdziwe nieszczęście! Na dobitkę nachodzą mnie ogromnie; drżę, gdy kto dzwoni. Jutro znowu nic, jeśli B. nic nie da... Anna nieźle się trzyma, ona doprawdy godna lepszego losu! Nieszczęśliwy — mówi — nie myśl, nie zastanawiaj się! Nie myśleć! Trzeba iść między ludzi, chociaż się nimi tak gardzi. O, tylko odrobinę środków do życia, żebym nikogo niepotrzebował widzieć i z nikim rozmawiać, a wtedy napiszę dzieło: „Człowiek odbicie Boga, tego Boga, co świat stworzył“...

21 marca. Tego Boga, od którego miłość pochodzi. Jak ja o tem mógłem zapomnieć? Ta miłość, która z życiem jedna. Jestem zdenerwowany. Wciąż zdaje mi się, że ktoś dzwoni, wreszcie naprawdę dzwonią. Słyszę głos żony: „proszę przyjść jutro, dziś doprawdy niemożna“. Ach, to był żebrak, to nie wierzyciel! A przecież ja nikogo zarwać nie chcę. Tylko straszne ostateczności naglą mnie, mogę się gorszym wydawać, niż jestem. Nie mam usposobienia do pracy, usposobienia zniewolić nie można. Ach! ja tak pragnę wsi, słońca, powietrza...

12 kwietnia. Wczoraj byłem w Künstlerhausie. Ze środków państwowych tylko drobne zapomogi. Stara skarga! Radzili mi, abym był „rozumny“. O, wy „rozumni“, wy nie czujecie, ile to kosztuje, wyzyskiwać czyjąś nikczemność. Cicho! Sumiennie popłacić długi! Nie być Łazarzem! Zostać profesorem i radcą dworu. Mój pamiętnik, to dla mnie i żony; świat musi mieć moją rękę!

13 kwietnia. Straszna noc. Śniłem, że jestem na scenie, chcę a nie mogę śpiewać. Nareszcie sprzedał Werner przy pomocy Clemensa obrazy za 1,000 guldenów. Tysiąc guldenów!

15 kwietnia. Oczy bez łez, zimne. Miałem mowę w Künstlerhausie, jako „porządny człowiek“ tym razem. Kochana, biedna żono, ty nie powinnaś, nie możesz iść żebrać. A ja tak przygnębiony. O, bodajbym był pobożny. Człowiek to taki nędzarz, iż doprawdy pomoc nadziemska może mu się przydać, aby w tej nędzy swojej nie utonął. Błogosławieni wierzący. Ja

z ofiarnością artystów, znalazł zasoby pieniężne, za które corocznie zakupywanoby najlepsze obrazy polskie, rzadko w kraju mogące znaleźć nabywców. Nie ulega wątpliwości, że to podniosłoby znaczenie naszej sztuki i wpłynęłoby na jej rozkwit. Wielu dobrych malarzy rozprasza swój talent na malowaniu rzeczy drobniejszych, a więc łatwiejszych do pozbycia. Każdy pragnąłby stworzyć rzecz monumentalniejszą, ale to wymaga dłuższego czasu, a tu żyć potrzeba. Odejmie sobie wreszcie który od ust, namaluje taki „majstersztyk“, najczęściej zadłuży się na modele, płótna, farby, ramy — i czeka potem naprożno nabywcy, albo wreszcie sprzedaje obraz „kunsthändlerowi“. Galerya taka, jak ją proponowano, dawałaby nadzieję, że obraz się nie zmarnuje, że nie pójdzie za granicę, że powiększy zbiór, świadczący o rzeczywistym rozwoju sztuki w Polsce. Spaczenie tej myśli głęboko zabolało artystów. Były więc zebrania, by mu przeszkodzić, pisano petycye do rady miejskiej i odezwy do dzienników, gorąco broniono sprawy. Pruszkowski tej akcyi przewodził, a że nie wydała pomyślnych rezultatów, to wina nie jego, lecz silniejszych od niego okoliczności.

Tak w tej sprawie, jak i we wielu innych, Pruszkowski był prowodyrem młodzieży artystycznej. Powstało wówczas „Koło artystyczno-literackie“, które według programu zakładało sobie dość szerokie cele i zadania. Długo byłoby opowiadać, jak instytucya ta jeszcze przed zawiązaniem była już prawie rozwiązaną, jak tylko dzięki energii Pruszkowskiego i jeszcze jednego z członków, udało się skupić razem literatów i artystów. Kiedy nareszcie instytucyę założono, było w niej sporo życia i dość projektów, a co za tem idzie, sporów i walk ilość dostateczna. Pruszkowski na czele swej małej armii, zawsze bronił dobrej sprawy, energią i jawnem wypowiedzeniem swych zapatrywań pobudzał do rozpaczy przeciwników.

A trzeba się było z nim rachować, bo miał już imię wyrobione. Kilkanaście jego obrazów i portretów, z których każdy był „niech go djabli“ dawały prawo stania na czele artystycznej drużyny i przemawiania w jej imieniu.

Największe wrażenie z jego obrazów uczynił „Anhelli“.

Artysta przeniósł na płótno te słowa poematu Słowackiego: „W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur... Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.“

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O Asnyku i Sienkiewiczu.

Pierwszy na rok bieżący numer, wychodzącej w Genewie „Semaine littéraire“ w większej połowie poświęciła redakcya nam i literaturze naszej. Asumpt do owego skierownnia uwagi w naszą stronę dała wydana świeżo w Paryżu u Laisney'a monografia Krakowa, pióra Kazimierza Stryjeńskiego, znanego we Francyi wydawcy pośmiertnych dzieł Stendhala, a obdarzonego przez Bourget'a, wielkiego kowala epitetów, przydomkiem: l'aimable Stryjeński.

Monografia ta, wspomniana niedawno temu w „Journal'u“ genewskim, obecnie doczekała się wzmianki w „Tygodniku literackim“, wzmianki, skreślonej przez Ernesta Tissot'a, w rodzaju wstępu jeno do obszerniejszej nieco, lubo nie wyczerpującej oceny działalności literackiej Asnyka i Sienkiewicza.

Tissot, który przechodził także, jak powiadają francuzi, swój *quart d'heure* sławy, widocznie dla większego efektu wędruje ku właściwemu tematowi artykułu przez, jak ją zwie, „Bramę Florjanka“, zawadzając po drodze i o Bohdana Zaleskiego i o pannę Poradowską i o Mickiewicza.

Ze Krakowa nie zna, przyznaje się sam do tego, że zaś na Asnyku nie bardzo się rozumie, świadczy już choćby tytuł poety *empire*, jakim go obdarza, podnosząc jednocześnie charakter utworów jego *moderne*. Widocznie zbija go z tropu zdrowy, jędrny liryzm pisarza naszego, wykoszlawionemu łamańcami bieżącej poezyi francuzkiej smakowi wydający się „sentymentalizmem *de guitare*“ i „prostotą *suzannée*“, a kwalifikujący się, zdaniem jego, „na kartki albumu“, dobrze, że nie dodaje — babek naszych.

Na potwierdzenie opinii tych cytuje w wolnem tłómaczeniu prozą wiersz: „Jednego serca trzeba mi na ziemi“.., zaopatrując go w komentarz iście francuzki, iż winnaby go śpiewać „głosem wysokim bardzo i bardzo czystym, przy akompaniamencie oddalonych, a omdlewających akordów harfy, kobieta w turbanie, udrapowana po grecku“ (!)

Słuszniej już oryginalności Asnyka dopatruje się Tissot w tem, iż, jak się wyraża, „zrywając z tradycyą, odważył się być sobą“, a mniej słusznie unosi się nad balladami chłopskiemi“, rzekomo układu naszego poety.

Liczne tłómaczenia prac Sienkiewicza, jak i z natury rzeczy dostępniejsza ich treść dla cudzoziemca, sprawiły, iż w Tissot'cie spotykamy wcale dokładnie zaznajomionego z zaletami pióra p. Henryka sprawozdawcę, a, co więcej, odczuwającego w całej pełni jego pióra zalety.

O „Bartku zwycięzcy“ np., którego pobieżnie streszcza, następujący sąd wydaje: „Mówię to po zastanowieniu: z całej literatury, mającej związek z wojną z r. 1870, żaden utwór nie uderzył mnie tak do głębi, jak opowieść Sienkiewicza, nawet „Pogrom“, którego cudowne ustępy giną w secinach frazesów, ustępów i stronnic zbytecznych. Nic podobnego w opowiadaniu powieściopisarza polskiego, którego zwięzłość ujarzmia uwagę czytelnika, podczas gdy szczery realizm szczegółów, piękność, heroizm anegdot, wprowadzają go w zachwyt. Przy zakończeniu powiastki tej drobnej przyłapałem się na wzruszeniu, jakiego doznawałem ongi, w wieku pięknych złudzeń et des baisers candides, czytając po nocach Mayne-Reid'a lub Gustawa Aymarda“.

Uwagi swoje nad mistrzem powieści naszej kończy Tissot zdaniem: „Sienkiewicz posiada w najwyższym stopniu, co Bourget zwie: „le don du pathétique moral“ — to jest poczucia duszy cudzej, zdolność przeżywania obcych sobie wzruszeń i udzielania ich uważnemu czytelnikowi“.

Jako ilustracyę do powyższego sądu, redakcya „Tygodnika Literackiego“ pomieściła w tym samym numerze wcale udatne (a nie wiem już, które z rzędu) tłómaczenie „Latarnika“.

Za upoważnieniem autora wykonała je pani Giuntini z domu Grzymalanka, pełne wykazując niem uzdolnienie do tego rodzaju pracy. To też pierwszy ten krok pociągnie za sobą, zdaje się i inne, bo, jak słyszałem, na zamówienie „Journalu“ genewskiego tłomaczy pani Giuntini obecnie jednę z powieści Orzeszkowej.

Oby tylko wybór padał zawsze na utwory, warte zaprezentowania obcokrajowcom.

Szwajcar.

CONDORCET

um. 1794.

II.

Wspominaliśmy już o tem, że przez pewien szereg lat wydawał Condorcert „Bibljotekę działacza społecznego“. W tem oto czasopiśmie ukazało się pięć jego znakomitych memorjałów

---

wierzę, iż w niedalekiej przyszłości serce me bić przestanie. Przyroda musi się przecież zabijać, aby się odradzać mogła. Dlaczego? Być może, że szydzą z tej ziemskiej kuli, na której ból się wiecznie odnawia. A przecież jakże były piękne chwile, gdym z Anną... obym tylko mógł jej szczęście zapewnić!

20 kwietnia. Tylko jeden obraz sprzedany, Wiedeń staje się okropnym dla mnie. Przecież ja bogactw nie pragnę, chcę tylko bronić się od niedostatku, od głodu! Czyż w tej masie kamieni niema człowieka, niema serca, któreby czuło? Przecież i ja robię coś dla społeczeństwa — daję mu potoki mojej krwi serdecznej.

21 kwietnia. Chcę na wieś, do natury — niepodobna, brak środków! Chcę nowy obraz zacząć, niema farb, niema płótna. Źle, bardzo źle idzie...

22 kwietnia. Kunsthaendler obiecał 30 guldenów. Obrazek zaaranżowany dobrze, ale czemuż ja „muszę“ go sprzedawać!

24 kwietnia. Byłem wczoraj u Makarta, dawniej zdawało mi się, iż zdołam się na jego wysokości utrzymać! „Pochód uroczysty“ skomponował tak, jak od czasów, gdy malarstwo istnieje, nikt, prócz Rubensa, nie był wstanie!

25 kwietnia. Potrzeba 150 guldenów, dostałem 15.

26 kwietnia. Ten X. był znowu, dałem mu masę malowideł za 20 guldenów i muszę się cieszyć, że chociaż przyszedł. A jednak jak mi żal było, jak serdecznie żal! Udawałem przed Anną i śmiałem się. Przecież „musimy“ mieć pieniądze.

28 kwietnia. Pani X. X. była; prócz niej, gość z Hamburga, przed którym udawaliśmy z żoną, iż jesteśmy bardzo zadowoleni. To straszne nad wyraz!

29 kwietnia. Śmierci pragnę szczerze. A przecież ja bym tak chciał żyć, lecz człowiek morduje się walką. Moje życie cierpi na brak pieniędzy, zadowolenia, uznania. Rachunek dra K., 2 guldeny — umiarkowany, lecz egzekucya od dra M. 15 guldenów — 15 guldenów dla mnie!!...

30 kwietnia. Radzą mi, abym mniej był artystą, a więcej kupcem. Nie, raczej się zadławić, niż sprzedawać moją cześć malarską.

1 maja. Początek wiosny, to najuroczystszy dzień w roku. Byłem bliski wyskoczenia oknem; żona i dziecko uspokoili mnie. Zaczynam czuć, iż mam obowiązek życia i decyduję się żyć. Tęsknota do zimnej ziemi, do snu wiecznego, do tego spokoju bez marzeń — znika. Ziemia, świat pozorów znowu mnie mają, niestety i ja je.

14 stycznia 1881 r. Niewiele takich namalowałem obrazów. Naszkicowałem aleję topolową, sprawia mi ona wiele zadowolenia.

20 stycznia. Jakto? więc jeszcze choroba do tego! Powinienem jechać do kąpiel, aleź ja nie mam za co kupić proszku salicylowego — bezsenność i chloralhydrat.

24 stycznia. Bardzo jestem znękany i pracować nie mogę. Wystawa otwarta. Mój obraz nie podoba mi się.

26 lutego. Otrzymałem, mam „Reichel-Preis“ (nagroda). Walch w tej chwili zawiadomił mnie; 1,500 guldenów, mogę długi opłacić i zyskam jedno lato studyów na wsi.

31 marca. Dają mi 2 guldeny. I niemaź że gromu dla tego miasta!...

1 kwietnia. Atak duszności w nocy. Ledwie poruszam mojemi „zwłokami“. Czy abym ten rok przeżyję?

2 kwietnia. Uspakajam moje nerwy tem, że wracając do domu, staram się nazywać spotkane przedmioty odpowiednią nazwą, im właściwą. Uprosiłem żonę, aby schowała wszystkie noże.

6 kwietnia. Doświadczeni znowu wołają: Powinien swoją sztukę poświęcić, tak malować jak inni; o! z jakąż chęcią zaprzestałbym malować, gdybym mógł to sobie nakazać. Jakto, ja mam malować jak pierwsza lepsza miernota bez dążenia wyżej — i to mi radzą przyjaciele? Jakto, ja mam oszukiwać? Nie, nigdy!

* * *

obejmujących zupełny, wypracowany aż do szczegółów plan reformy wykształcenia ludowego we Francyi. Z chwilą zniesienia klasztorów, ktore do tej pory były środkami nietylko duchownej ale i świeckiej wiedzy — kwestya wykształcenia mas stanęła na pierwszym planie trosk młodej Rzplitej. Tu wielka potrzeba wywołała tak wielki nakład pracy Condorceta. Pierwszy memorjał rozpatruje charakter i granice udziału państwa w wykształceniu. Rozpoczyna od kategorycznego zdania, że kształcenie publiczne należy do obowiązków państwa; żadna równość ani wolność nie iest możliwą bez takowego, każdy bowiem człowiek „nie umiejący czytać i nie najęcy początków arytmetyki“ zależnym się staje od każdego znowu, kto wyżej stoi od niego pod względem wykształcenia. Szkoły powinny się dzielić na trzy kategorje: niższy typ szkoły powinien uwzględnić ogólne potrzeby wykształcenia bez względu na przyszłe zajęcia i upodobania: średni — ma na celu wykształcenie narodowe, rozpoczynając od rzemiósł i kończąc na profesyach liberalnych. Najwyższy zaś typ szkoły — ma na względzie czysto naukowe wykształcenie. „Powinien stworzyć ludzi, którzy przez odkrycia i wynalazki mogą wpływać na postęp ludzkości“. Condorcet uważa, że szkoła nietylko ma istnieć dla dzieci. Jeżeli bowiem — mówi — nie podtrzymujemy i nie odżywiamy w późniejszym czasie drobnych kiełków nauki elementarnej, to nieodwołalnie zaginą. Rólnik albo robotnik wogóle zajęci w tygodniu wyczerpującą ich zupełnie pracą fizyczną mają wolny zaledwie dzień niedzielny. Z tego właśnie należy korzystać i utworzyć kursa niedzielne przy szkołach wszystkich trzech typów. Równie oryginalny był jego drugi pomysł szkoły bez różnicy płci. Dlaczegóżby — pyta — zamknąć przed kobietą możność zdobywania wiedzy? Przypuszczając nawet, że nie są one zdolne do współdziałania postępowi nauk przez nowe odkrycia, co atoli ma miejsce w tych tylko razach, gdzie odkrycie wymaga niezwykłej siły mózgu, — to czyż nie są zdolne kobiety do rozpowszechnienia w społeczeństwie wiedzy przy pomocy np. podręczników elementarnych. Giętkość umysłu i częsta styczność z dziećmi czyni je do tego bardziej zdolnemi niż mężczyzn. Dobry jednak podręcznik może być napisany tylko przez tego, kto wie więcej niż mieści sama książka“.

W innym memorjale poświęconym specyalnie kwestyi organizacyi wykształcenia elementarnego Condorcet żąda utworzenia w każdej wiosce szkoły z czteroletnim kursem w celu nauki czytania i pisania, początków arytmetyki, najprostszych zagadnień geometrycznych, miernictwa i historyi naturalnej w zastosowaniu do rólnictwa. Ten cykl wiedzy ma na celu uczynienia przyszłych obywateli jak najbardziej niezależnymi w walce o byt. Condorcet nie zapomina wszakże i o kształceniu uczucia: „nauczyciel powinien wybierać do czytania książki treści takiej, któreby poddawały uczniom myśli o konieczności współczuwania bliźnim i zwierzętom, filantropii i człowieczeństwu“. Na wstępnym szczeblu tej drabiny szkólnej znajdują się szkoły okręgowe. Tutaj następuje różniczkowanie nauki na ogólną i rzemiosłową i pewna cząstka tylko czasu poświęcona jest pierwszej. I tutaj kurs trwa cztery lata. Podstawy matematyki, historyi naturalnej i fizyki, prawa państwowego Francyi, gramatyki, metafizyki, logiki, historyi i geografii — oto plan, który uwzględnić musi wykształcenie ogólne. Wykształcenie rzemiosłowe powinno być skierowanem na te mianowicie nauki specyalne z których korzyść odnieść mogą najliczniejsze grupy uczącej się młodzieży. Na trzecim stopniu tej hierarchii znajdują się w stolicach departamentów „instytuty“, coś w rodzaju naszych szkół gimnazyalnych. I tutaj stosowana matematyka, fizyka i nauki przyrodnicze na równi z historją i geografiją, polityką, ekonomiją i metafizyką zajmują centralny punkt wykształcenia. Języki klasyczne stoją na dalszym planie. „Wykształcenie ofiarowane przez państwo — mówi nasz filozof — powinno dać obywatelom możność dalszego doskonalenia się. Wystarcza zatem nauczyć tyle łaciny, ażeby umożliwić czytanie łatwiejszych książek. Dla ludzi wolnych od jarzma autorytetów jest stokroć ważniejszem zapoznać się z tem, co jest dowiedzionem faktycznie, jak z tem co myślał ongi jeden lub drugi myśliciel. Zamierzamy kierować się rozumem, a nie przykładami starożytnych autorów“.

Na szczycie tak zbudowanej piramidy chciałby Condorcet widzieć towarzystwa naukowe, które mają na celu nie rezultaty pedagogiczne, ale czystą naukę. Każdy departament powinien posiadać podobną instytucją, w której znajdowaliby się przedstawiciele wszystkich nauk. Na czele zaś zrzeszonych akademii prowincyonalnych ma stanąć towarzystwo narodowe sztuk i nauk. Zadaniem jego będzie nadzór nad wszystkiemi szkołami, troskliwość o nowe okrycia i udoskonalenie takowych.

Ta najwyższa akademia dzieli się na cztery sekcye: 1) matematyki, 2) nauk moralnych i politycznych, 3) nauk stosowanych, 4) lingwistyki, literatury pięknej, erudycyi i sztuk pięknych.

Nie omawiając bliżej stanowiska Condorceta względem szybko się zmieniających perypetyi przewrotu francuzkiego przechodzimy obecnie do najważniejszej jego zasługi naukowej, do dzieła, które unieśmiertelniło jego imię w dziejach socyologii do „Obrazu postępu rozumu ludzkiego.“ Od czasów Monteskjusza — mówi Comte — jedyny krok naprzód, który uczyniła socyologia wiąże się z nazwiskiem wielkiego i nieszczęśliwego Condorceta. W jego traktacie po raz pierwszy sformułowany został ruch postępowy ludzkości“. Główną zasługą „Obrazu“ jest pogląd, że pojedyńcze stadja społeczeństwa rozwijają się jedne z drugich najzupełniej naturalnie. W tej formie nie znajdujemy tego poglądu u żadnego z poprzedników Condorceta, ani „Monteskjusza“ ani „Turgota“, jakkolwiek ten ostatni twierdził już, że ludzkość zdolną jest do doskonalenia się i dąży ku temu nieubłagalnie. Zasługa Condorceta jest tem większa, że pierwsza próba zbudowania filozofii dziejów — mówimy tu o „Scienza nuowa“ J. B. Vico — ujęła dzieje powszechne i historją każdego społeczeństwa w formułę stale powracających młodości, dojrzałości i starości. W taki sposó rozwój nie nakreśla linii nieprzerwanej rozwoju, ale przeciwnie zamykające się ciągle koło (circoli). Nie należy brać za złe Viconowi, że konstrukcya jego tchnie takim beznadziejnym determinizmem bezpostępu, ale do początków francuzkiej rewolucyi nic na Zachodzie nie kazało się spodziewać i przewidywać postępu. Jeżeli porównamy rzeczpospolitą świata klasycznego z feodalną anarchią średniowieku, albo absolutyzm XVI i XVII w. z gminowładztwem i ograniczoną przez stany monarchiją XIV i XV stul., to w rezultacie tych porównań nie otrzymamy wrażenia postępu. I Condorcet nie przeczył takiej sprzecznej z jego zasadniczym poglądem „prawdzie“ historycznej. Oto jak prostuje tę sprzeczność. „Postęp rozumu ludzkiego nie posuwa się zawsze równolegle z ruchem społeczeństw ludzkich ku szczęściu i cnocie; innemi słowy — zostaje albo w tyle, albo wyprzedza ten ruch. Tak należy sobie objaśnić fakt, że w dobie wieków średnich w czasie zupełnego zaniku wiedzy niewolnictwo zamienionem zostało na poddaństwo, a w czasie odrodzenia upadek form politycznych miał miejsce jednocześnie z rozkwitem nauk i sztuk“. Traktat Condorceta jest zupełnie wolny od wpływów Russa i Monteskjusza. „Czytelnik przekona się, że nie rozwój nauki, ale jej upadek stwarzał „nierówność między ludźmi“ i zanieczyszczał ich sumienie chwastem grzechu. Wiedza nietylko nie prowadziła ludzi na drogę grzechu ale udelikatniała ich obyczaje, a niekiedy poprawiała i zmieniała takowe“. Monteskjusz objaśnia całkowitą różnicę form politycznych różnicą wpływów środowiska fizycznego. Nie probuje nawet ustanowić zależność prawa od stadjów uspołecznienia, które przechodzą nietylko narody, ale i ludzkość. Condorcet rozpoczyna przedewszystkiem od formuły postępu — zachowując sobie ocenę wpływów, które przyspieszyły albo zatrzymywały rozwój pojedyńczych państw i narodów. I bynajmniej nie poprzestaje na zestawieniu ogólnych zasad: ilustruje je przykładami: z jednej strony ogłasza rodzinę patryarchalną jądrem zaczątkowem wszystkich plemion, to znowu — o całe stulecie wcześniej niż Fustel de Coulanges — sądzi, że „system feodalny nie jest bynajmniej biczem naszych stosunków, ale że można stwierdzić jego istnienie na całej powierzchni ziemskiej na jednych i tych samych stopniach cywilizacyi“.

Nie można bynajmniej oskarżać Condorceta o to, że jego praca w ogólnym zarysie okazała się bladą, a w szczegółach błędną. Nie zapominajmy, że embrjologia społeczeństw nie istniała zupełnie, ani archeologia, ani etnografia, ani porównawcza historya prawa. Nie przeczuwano jeszcze kolejnego następstwa rodziny macierzystej i patryarchalnej, ani wspólnej i indywidualnej własności — równie jak i późniejszych zwycięstw porównawczej lingwistyki i mitologii porównawczej. Zaledwie w dziełach Lafiteau (Obyczaje dzikich amerykańskich“) i w pracach podróżników znaleść można było przebłyski racyonalnych zapatrywań. Odnajdujemy też ich wpływ w dziele Condorceta.

Ostatnią epokę postępu rozumu ludzkiego rozpoczyna Condorcet od Kartezjusza i kończy Rewolucją. Tutaj uwzględnia głównie tylko

---

Tak bezmiernie cierpiał ten człowiek — pisze Spier — pod naciskiem nieubłaganej nędzy, tak rozmiażdżała go codzienna potrzeba — w walce o byt. Kunsthaendlerzy za niezwykle nizkie ceny nabywali jego prace, pozbawiając możności „bezpośredniego“ zarobkowania. Jednak nawet ten nadzwyczajny „przymus“ nędzy, niezdołał wykoleić go z raz obranej drogi. Nie, on ze swym określonym, zdecydowanym ideałem zdołał się przecież z tej strasznej, zagładą grożącej walki wydobyć — wprawdzie z zachowaniem swego „ja“, ale za to z nerwami starganemi.

Blizko dwuletnia niemoc przykuła go do łoża, nareszcie pewien wiedeński bankier, zaliczkami na poczęte lub dopiero począć się mające obrazy, umożebnił istnienie artysty. Dobrze to był umieszczony kapitał, dawał on nietylko procenty, lecz i procenty od procentów!...

Następnie zjawia się jeden z kunsthaendlerów wiedeńskich (prawdopodobnie jedyny w całym Wiedniu, dla którego sztuka była czemś więcej, niż „interesem“), ten zawarł umowę, iż brać będzie wszystkie obrazy Schindlera „nieograniczając“ przytem indywidualności i twórczości artysty.

Schindler urodził się w 1840 roku w Fischamed, zmarł na Sylcie 1892 r.

Było to już po śmierci tego artysty: przejeżdżając przez Wiedeń, wstąpiłem do Kunstlerhausu. Wielka sala wypełniona była obrazami zmarłego. Popiersie wieńcami zarzucone stało samotnie w pośrodku, w głębi zaś jego ostatni obraz „Pax“, przedstawiający wielkie Campo-Santo włoskie wśród skał, cyprysami ocienione; znać świeżo deszcz zrosił te grobowce, strugi wody gdzieniegdzie odbijają szare, zwisłe na szczytach skał chmur całuny. Niewymowny, cichy smutek i zarazem spokój wlewa w duszę widza ten obraz: smutek, głęboki, serdeczny, rzewny, bez rozpaczy, raczej zazdrość dla tych, co po życiu walki z głupotą ludzką, życiu pełnem intryg i nizkości, spoczęli pod temi marmurami dzikiem kwieciem ubranemi — snem bez marzeń...

Maryan Wawrzeniecki.

Monachium, w styczniu 1895 r.

rozwój wiedzy: matematyki i astronomii aż do metafizyki i etyki. Wypadki polityczne ostatniej chwili uważa, jako początek nowej ery dla całej Europy. Dalszy postęp ludzkości powinien znaleść swój wyraz w coraz silniejszej równości umysłowych, społecznych i politycznych warunków pojedyńczych narodów i plemion, a także obywateli jednego państwa. „Nadejdzie chwila, kiedy słońce promieniami swemi będzie oświecać ludzi wolnych, którzy uznawać będą nad sobą tylko władzę rozumu“. Rozwój moralny ludzkości w jego pojęciu dążyć będzie do coraz potężniejszego „w ludziach i narodach uczucia solidarności“.

W perspektywie nieograniczonego i niewstrzymanego postępu ludzkości Condorcet — jak sam twierdzi — znajdował nagrodę swych czynów i pociechę śród ciasnego obrazu występku i grzechów, który snuł się przed jego oczyma. „Myśl o przyszłości każe zapominać o teraźniejszości. Łącząc się w myśli z człowiekiem przyszłości, z człowiekiem odrodzonym w prawach i jaśniejącym całe dostojeństwem swej natury, znajduje każdy myśliciel swe pola elizejskie, które miłość ludzkości rysuje w jego wyobraźni jako pełne najczystszych rozkoszy!“ Tak kończy Condorcet swój traktat — i prawie życie swoje. Po tryumfach Robespiera nie sądził się pewnym życia. Napisał też testament, w którym polecając swoją córkę przyjaciołom mówi między innemi: „Boję się, ażeby moje nieszczęsne losy nie natchnęły ją uczuciem zemsty. Niechaj nauczą ją przezwyciężać podobne uczucia, działając w mojem imieniu i mówiąc, że ja nigdy nie żywiłem takowej“...

Condorcet wzięty do więzienia przez siepaczy Robespiera znaleziony został 29 marca 1794 r. martwym w swej celi. Nie znaleziono przy nim broni, a obdukcja lekarska nie wykazała skutków otrucia. Nie należy przeto wierzyć często powtarzanemu podaniu, jakoby sam przeciął nić swego życia. Dzisiaj postawiła mu Francya pomnik. Ale i bez tych oznak zewnętrznej pamięci potomnych, nie zapomni o nim ludność, ani jej historya. Jest w dziejach losów ludzkich obrazów wiele, które znaczą dobę epoki; jest wiele innych, które wloką za sobą długie smugi światła, niby ogony przy kometach, których ciepło i w późniejszych stuleciach siły swej nie traci; są takie, których nie zapomina nigdy myśl i serce wierzące w przyszłość i postęp — i z jednym z podobnych obrazów związanem jest imię Condorceta, uczonego i człowieka: Wokół szaleją zawieruchy rewolucyi, rozbestwienie dni Robespierowych przechodzi zdawałoby się granicę możliwości i wytrzymałości ludzkiej — a w skromnej celi swej duma myśliciel nad niepowstrzymanym w swym rozwoju, koniecznym, dumnym „*Postępie rozumu ludzkiego.*“

T. K.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA LODYŃSKA

Londyn, 11 lutego.

(Z nowym rokiem... Trzy wystawy dzieł sztuki. Turner i Reynolds w Akademii. Sztuka wenecka w New Gallery. Z beletrystyki: Jerzy Meredith.)

Z nowym rokiem zawrzał ruch przyspieszonem tętnem na całym obszarze umysłowości. Jakby z rogu obfitości spadają na nas pod brzemieniem cywilizacyi upadających śmiertelników coraz to nowe dzieła ducha ludzkiego. Gwiazdka przyniosła nam dwie pantominy, w których maszyniści walczą o lepsze z kostyumerami a idyotyzm fabuły z płaskością dowcipów. Znakomicie wyróżnia się z pośród sztuk spektaklowych udramatyzowana baśń niemiecka pod tytułem: Hänsel i Gretel.

Przepiękna muzyka Humpendincka w połączeniu z doskonałą grą i śpiewem artystów czynią na trzy akty rozwałkowaną bajkę nie tylko znośną, ale przyjemną. W swoim rodzaju jedynem widowiskiem jest Oryent, który, bazarami orkiestrami, efektami świetlanemi, przepychem i baletem wschodnio-londyńskim rozgościł się w olbrzymiej Olympii, Dalej notuje statystyka dwie nowe operetki: Model malarza — przez ulubionego kompozytora Sydney Jones'a i seniora muzyków tutejszych, Artura Sullivna: The Chieftain. Na deskach scen poważnych ukazały się nie mniej jak cztery sztuki, wszystkie godne uwagi, wszystkie płody piór literackich. Słów kika o nich w następnym liście.

Sędziwa akademia sztuk pięknych zgotowała wspaniałą biesiadę, odsłaniając przed oczyma tłumów świetną odsetkę świetnych dzieł dawnych mistrzów angielskich. Wraz z wzrastającą na lądzie stałym anglomanią, propagowaną przez kilka znakomitości francuzkich, niebawem zapewne dowie się świat szeroki, że W. Brytania posiada w litanii mistrzów pędzla gwiazdy pierwszej konstelacyi, które nie uroniłyby nic z swego blasku na lazurowem niebie Włoszech, stałyby się chlubą de la belle France i oryginalnie odbijałyby na tle cennej, lecz wielokrotnie małomieszczańskiej sztuki flamandzkiej. Dumę Anglii, Turnera reprezentuje w salach akademii „rzeka Trout“. w rzeczywistości przypominająca wielce Wartę, malowana z fantazyą w pierwszych latach karyery artysty. Szczególnie pięknym odłamem natury są „brzegi Tamizy“. widziane w złotych blaskach popołudniowego słońca. Trudno płótno to nazwać krajobrazem; ściśle biorąc Turner nie malował krajobrazów. Jest to raczej wizya, którą twórczy umysł artysty ujrzał pod wrażeniem natury. Scenerya jest pogodną a w pogodzie swej wesołą; zda się żyć pod pędzlem mistrza, odczuwać jak człowiek ożywcze, dobroczynne ciepło słoneczne i doznawać rozkoszy. Widok morski Turnera, chociaż wykończony na zimno, uwydatnia nie mniej dobrze właściwości tej dziwnej indywidualności. Jak wybornie uchwycił tu impresyonista bieg chmury, zbogacającej wody obfitym deszczem, jak żywo oddał ruch fal uderzających w bok statku, jak subtelnie zaznaczył ląd, wieżę kościoła i w morze rzucony pomost, po przez siatkę wilgotnej mgły!

Zaszczytnie przedstawia się inny wielki malarz — Joschna Reynolds, portrecista, pierwszy prezydent kr. akademii. Dziwnem zda się, że ów głuchy stary kaweler, który zażywał tabakę i pisał nudne pamiętniki, znalazł na swej palecie farby do odtworzenia wdzięku, niewinności i zalotności dzieci. Mały Crewe i nadobna Kitty Fisher nie ustępują w niczem inny dziełom angielskiego Rembrandta. Jerzy Romney, Tomasz Lawrence, Tainsborough, współcześni Reynoldsa portretyści, Constable, rywal Turnera grają dominujące role w tym koncercie i widz stawia sobie pytanie, czy współczesna szkoła angielska za lat sto równie żywo przemawiać będzie do umysłów innych generacyi.

Na ścianach Grafton Gallery zawisły dzieła dawnych malarzy szkockich, z Raeburnem na czele. których sztywne i konwencyonalne, lubo nie pozbawione zalet technicznych obrazy, mijamy bez wrażenia. Natomiast dobrze świadczy o stanie sztuki w królestwie św. Andrzeja John Gordon, który w kilku portretach a zwłaszcza znanej na kontynencie podobiznie sędziego z Porthhead uwydatnił kardynalną portrecisty zaletę: pochwycenie charakterystycznych rysów postaci.

Zbiory w New Gallery przenoszą nas w odległe czasy Wenecyi dożów. Nietylko dzieła pędzla składają się na ciekawą wystawę, lecz także majoliki, fajanse, bronzy, koronki, tkaniny a nawet okazy introligatorskie, numizmatyczne i autografy, odtwarzające niemal skończony obraz sztuki weneckiej, która rozwijała się samoistnie i odrębnie od innych centrów Italii. Weneckich artystów XVIgo wieku najwybitniejszem usiłowaniem było olśniewać orgią kolorów, nieraz arcyprymitywnie dobieranych. Ztąd portrety Bartolomeo Montagna nie wiele różnią się od bohomazów. Ratuje je delikatny acz bezduszny rysunek twarzy. Inaczej atoli wyglądają głowy na płótnach Bartolomeo da Messina, wpadające w oko potęgą charakterystyki i ścisłością rysunku. Słynny Giorgione sąsiaduje z dwoma swymi naśladowcami Titianem i Sebastiano. Niepojęty wygląd liści razi i psuje harmonię na jednym obrazie sławnego krajobrazisty, lecz „Pastuch z fujarką“ wynagradza rozczarowanie. Cała wystawa, na którą złożyły się skarby księcia Westminsteru i innych magnatów. urządzoną jest z wielkim gustem i zaleca się chociażby jako spektakl.

Krytyk angielski Edmund Gosse oznacza przeciętnową liczbę powieści ukazujących się tu rocznie na trzysta. Zdaje się, że cyfra ta podskoczyła znacznie, gdyż statystyka twierdzi, że z dwóch tysięcy trzystu książek, które wyszły w zeszłym roku, czwarta część przypada na beletrystykę. Rozwielmożniła się ona w literaturze po dyktatorsku. z uszczerbkiem materyalnym powag europejskiej sławy nawet jak n. p. Herbert Spencer. Naturalnie znaczny procent książek tych rekrutuje się z tandety literackiej, która ujrzenie światła dziennego zawdzięcza ogromnemu popytowi na płody fikcyjne i, co z tego wynika, pobłażliwości wydawców. Na tem tle wszakże, ginącym w pomroku, występuje plastycznie cała galerya talentów, których pisma posiadają wartość literacką i cieszą się uznaniem więcej niż efemerycznem. Obok Jerzego Moore'a, który z „Esterą Waters“ w ręku sięgnął po najwyższe wawrzyny, figuruje tu autor „Egoisty“, Jerzy Meredith, należący do szczupłej garstki pisarzy, którzy bez względu na rynek zbytu. na wydawców i szersze koła czytelników, szli szlakiem swego natchnienia i — posiwieli zanim zdobyli palmę uznania. Zupełnie oryginalna indywidualność jego, głębokość umysłu spekulatywnego oraz dziwaczny styl, który Anglik wzbrania się uznać za angielszczyznę, kładły się kamieniem na drodze do poklasku publiczności, gdyż uprzedził on smak tych kół nawet, które zwykły nadawać ton i wręczać istotne dyplomy wielkości.

Obecnie mamy przed sobą swieże dzieło psychologa-idealisty, na które składają się trzy krótsze powieści: „Powieść o Chloe“, „Dom na wybrzeżu“ i „Sprawa generała Ople i lady Camper“. „Chloe“ jest charakterystyczną pracą tego pióra; talent autora ujawnia się tu w pełnym blasku. Fabuła tej powieści tak jest subtelną, charakter bohaterki tak głękoko i oryginalnie pomyślanym, że nie da się ująć w słowa obcego pióra. Dość, że jest to historya „iluzyi“ poczętej przez rządka, a piękną naturę, trzymającą się jej „oburącz przez miesiąc“. Piszący nie ma najmniejszej wątpliwości, że rzecz cała jest psychologicznie zupełnie uprawnioną chociaż wyda się niezawodnie niejednemu niepojętem, aby ktoś mógł z „gwałtownie upragnionej iluzyi“ — iluzyi, która nie jest iluzoryczną, lecz wbrew rozsądkowi, przez silną wolę kreowaną — wydobyć zadowolnienie duchowe i pociechę. — Realistyczna historya. „Dom na wybrzeżu“ jest mniej ciekawą. Natomiast „Sprawa generała Ople“ dorzuca do galeryi żołnierzy Mereditha typ egoisty na małą skalę, egoisty z ograniczoności, z podkładem pogodnej prostoduszności. Powieść ta jest jedną z dowcipniejszych prac Mereditha, a dowcip jego jest nie wymuszonym i na wskroś ludzkim. Jeśli „Chloe“ jest tragicznym brylantem, to „Sprawa generała Ople“ — perłą komedyi.

Nobody.

NA WYŁOMIE.

(Głos ludu. — Rozwidnia się. — Cześć ks. arcybiskupowi! — Nowy tytuł. — Co mowią Niemcy o „Kuryerze“)

Udało się „Kuryerowi Poznańskiemu“ w najświeższym czasie zainteresoować dwukrotnie publiczność szeroką. Raz — a było to w pamiętny dzień cesarskich urodzin — zaprezentował nam śpiewak lojalizmu symptomy nowej choroby umysłowej, ochrzconej przez jednego z psychiatrów „monarchomanią“, — a w tydzień później ogłosił światu list arcypasterski, ostrzegający spo-

czeństwo polskie, aby mówiąc „*Kuryer*“, nie myślało „*Arcybiskup*“. Czas był istotnie najwyższy wystąpić na forum z zaprzeczeniem takiem, bo w tłumach szerokich wrzeć już poczęło i wrzało coraz potężniej. Wsłuchując się nieraz w te szeptane opowieści, krążące po mieście i prowincyi, odczytując korespondencye, nadsyłane z sfer różnorodnych do redakcyi, sumując wszystkie objawy żalu, któremi witano organ „*arcybiskupi*“, czułem wyraźnie, że struna z dniem każdym napręża się coraz więcej, a przepaść między ludem i pasterzem jego rozszerza się z minuty na minutę. Czegoż tam sobie nie opowiadano na zebraniach towarzystw naszych, po cukierniach, piwiarniach i handelkach! Mówiono, że korekty poważniejszych artykułów wracają często po upływie 24 godzin z dopiskami, nieznaną, nie-redaktorską skreślonemi ręką, że na marginesie spotyka się nieraz uwagi w łacińskim ułożone języku, że kapelan arcybiskupi codziennie niemal składa wizyty redakcyi „Kuryera“, oglądając się trwożnie, czy ktoś nie śledzi go okiem ciekawem, a gdy redaktor lojalnego pisma ukazał się w okolicach tumu, wnet całe Chwaliszewo szeptało sobie na ucho: „Zobaczycie! jutro będzie bomba w „Kuryerze“. Ostatecznie na całym obszarze zaboru pruskiego za istotnego kierownika „Kuryera“ uchodził ks. Arcybiskup, a wobec bezustannych herezyi i nonsensów, ogłaszanych w tem piśmie, cierpiała powaga arcypasterska i atmosfera nieufności poczęła naród ogarniać. Wśród ludu krążyły legendy coraz dziwaczniejsze. Opowiadano sobie np., że pewne artykuły drukują się po godzinach roboczych, pod specyalnym nadzorem jednego z kapłanów, a czcionki ustawia dawniejszy *meteur en pages* „Kuryera“, obecny lajek w jednym z klasztorów francuzkich, — mówiono dalej, że często w jednej i tej samej kwestyi nadchodzą ztumu dwa artykuły — jeden dla „Dziennika“, drugi dla „Kuryera“, — jeden w tonie umiarkowanym, drugi w bombastycznym lub piorunującym — i podobnych wersyi mógłbym tu jeszcze całe seciny przytoczyć. Pajęczyna najfantastyczniejszych, często zdrowym humorem zaprawionych legend, oplotła pałac arcybiskupi i redakcyę „Kuryera“, a w każdej niteczce tej pajęczej siatki tkwił cichy protest przeciw rzekomej spółce najwyższej głowy Kościoła naszego z redakcyą kompromitującego się bezustannie organu. Gdy w końcu kompromitacya doszła do szczytu w pamiętnym artykule o urodzinach cesarskich, a oczy społeczeństwa znowu niespokojnie zwróciły się ku wyżynom tronu arcybiskupiego, dłużej milczeć bez protestu było niepodobieństwem. Najwyższy zwierzchnik Kościoła naszego zrozumiał fatalne położenie, zrozumiał, że noc „Kuryerowa“ mrokiem swoim tron jego ogarniać zaczyna, zrozumiał, że ból ludu, powierzonego pieczy pasterskiej, ukoić trzeba, i oto skłonił „Kuryerowe“ organy do zagrania takiej piosenki, jakiej zapewne panowie redaktorzy nie przeczuwali nigdy. Ks. arcybiskup Stablewski oświadcza publicznie, że za artykuły „Kuryera Pozn.“ „ani *pośrednio* ani *bezpośrednio* żadnej nie bierze odpowiedzialności“, „że nikt nie ma się domyślać w „Kuryerze“ osobistych zapatrywań, lub wskazówek arcypasterskich“, że wreszcie o artykule p. t. „W dzień urodzin cesarskich“, powziął dopiero wiadomość porówno z innymi czytelnikami „Kuryera“.

To zaparcie się lojalno-klerykalnego organu, ten protest dyskretny przeciw monarchicznemu obłąkaniu i zasadzie królewskiej nieomylności w łamach osławionej bibuły, jest w życiu naszem społeczno-narodowem nader poważnym i nader dodatnim czynnikiem. Dzisiaj zasłona arcybiskupiej opieki, która wielu rozumnym ludziom krępowała swobodę krytyki, spadła z Kuryerowych ramion, dzisiaj najwyższa głowa kościoła naszego polemizuje w misternej osłonie stylowych tłumików przeciw tej garstce zaślepieńców, która skupiła się około czarno-białego sztandaru i wypisała na nim dumne słowo: „Organ duchowieństwa! Kto nie ze mną, ten przeciw mnie, a kto przeciw mnie ten przeciw Kościołowi.“ Ha! Dowiemy się może niebawem od Kuryerkowych filozofów, że i ks. arcybiskup Stablewski jest wrogiem Kościoła. Zgotowano nam już tyle niespodzianek w tej fabryce bomb lojalizmu, że i taka nowinka do nieprawdopodobieństw nie należy zaiste.

Z arsenału „nowych prądów“ padały pociski najrozmaitszego gatunku: Okólniki, przekleństwa, bajki o socyalistach i masonach, bojkoty itd. — w najświeższym czasie ukazała się petarda amerykańskiego systemu: Paszkwil. W drukarni „Kuryera poznańskiego“ sporządzono w środę ubiegłą pamflet wierszowany, wymierzony przeciw autorowi feljetonów niniejszych i elaborat ten rozesłano w setkach egzemplarzy po mieście i prowincyi. Kolportowała go poczta, święte paniusie i redaktorzy „Kuryera Poznańskiego“. Ręka moja za uczciwa i za czysta, aby wdawać się w polemikę ze zgrają paszkwilantów. Nie tykam tych panów i jestem nawet tak rycerski, że podam im kilka sposobów, które z nieomylnym skutkiem w przyszłości przeciw mnie stósować mogą:

1. Niechaj panowie redaktorowie raczą w nocy powybijać mi wszystkie szyby. Gdy zegar dziesiątą uderzy, nie ma mnie zwykle w redakcyi i nikt im nie przeszkodzi w zaszczytnej robocie.
2. Niechaj nasadzą zbirów, uzbrojonych w pałki, na rogu Strzeleckiej ulicy. Tam zwykle przechodzę późnym wieczorem, a policyanta nie ma w pobliżu.
3. Niechaj porcyę witryoleju wyleją na ubranie moje. Jestem często zamyślony i zamach wtedy dopiero spostrzegę, gdy kwas w żywe ciało się wgryzie. Sprawca ujść zdoła bezkarnie.

Na życzenie dostarczyć mogę jeszcze kilka podobnych wskazówek. Dziś wyrażam tylko najgłębsze zadowolenie, że ks. arcybiskup Stablewski wyparł się organu, który do starego tytułu „Organ duchowieństwa“ dołączył nowy: „Kuźnia paszkwilów“.

* * *

„Posener Zeitung.“ charakteryzując polemikę „Kuryera Pozn.“ z pismem naszem tak pisze:

„Wyrażamy redaktorowi „Przeglądu Poznańskiego“ żywe ubolewanie, że skazany jest stawać do walki z przeciwnikami tego kalibru. Ileż razy Sulla z „Przeglądu“ uczuwać musi pokusę, aby parodyując słowa Fryderyka Wielkiego tak westchnąć: „I bić się tu trzeba z taką (bezmyślną) hałastrą (Gesindel). Każdy bezstronny musi przyznać, że w jednym numerze „Przeglądu“ jest więcej myśli (Geist) i dowcipu, niż w całym roczniku klerykalnego organu“.

Sulla.

WOLNE GŁOSY.

Od jednego z najpoważniejszych i wielce zasłużonych obywateli w Prusach Zachodnich odbieramy następujące pismo:

Taniec szkieletów.

Po utworzeniu komisyi kolonizacyjnej, gdy do niej ziemiaństwo nasze rzuciło się hurmem, skomponowano gdzieś kantatę pod tytułem: „Taniec szkieletów“, w której takie zachodziły wiersze:

My sprzedamy choćby wszystką ziemię,
By tylko hulać w szalonej ochocie,
By tylko skakać mogło nasze plemię,
Kąpać się długo i w winie i w złocie.
Bez serca, mózgu lekko skakać przecie
I nie czuć jarzma, co nam karki gniecie.

Te wiersze przypomniały mi się, gdy otrzymałem wiadomość, że w Toruniu po sejmiku gospodarskim nie tylko odbędzie się bal, ale że bal ten, mimo niewinnej firmy wieczorku posejmikowego, ma *przewyższać swą świetnością i hucznością wszystkie zabawy, jakiekolwiek bywały w Toruniu.* Widocznie chodzi o uświetnienie rocznicy ostatniego rozbioru Polski. Ze względu na cel tak szlachetny nie wahali się „wieczorku“ poprzeć nawet promotorowie wieców katolickich, którzy zresztą ogromnie się gorszą, ilekroć zauważą, że ich fornale urządzili sobie muzykę w chałupie. W roku bieżącym wszyscy tańczyć mają *z obowiązku,* tańczyć *na przekór „warchołom“,* którzy prawią, iż rok ten nie nadaje się do urządzania hucznych zabaw, że w tym roku zastanawiać się nad naszą dolą, a więc głową, nie nogami pracować nam wypada.

Podobno i w Prusach Zach., z kół obywatelstwa wiejskiego nie brakło słów przestrogi; ludzie poważni tłómaczyli, że można wybaczyć, jeżeli lud tańczy w tym roku, bo lud w ciągu ubiegłych lat stu nie podupadł, lecz podniósł się pod każdym względem i przyszłość ma przed sobą, ale ziemianie powinni głowy swe posypać popiołem i rozpamiętywać winy własne i ojców swoich. Jeżeli gdzie, to w Prusach Zachodnich obywatelstwo wiejskie wstąpiło w znak dekadencyi, bo jedni już zbankrutowali, inni zbankrutują lada dzień a resztę prowadzą do bankructwa podupadli krewniacy lub lekkomyślni synowie, odznaczający się chyba charakterem — w nogach.

Oczywiście panowie balownicy bawić się będą w lokalu niemieckim, rujnującym polskich restauratorów, choć istnieje w Toruniu polskie „Muzeum“ z piękną salą. Jeżeli dawniejsze bale posejmikowe dawały niemieckim oberzystom tysiące zysku, to w tym roku, kiedy po cesarskiem napomnieniu chodzi o zamanifestowanie lojalności Polaków, jeszcze większe sumy wpłyną do kieszeni protegowanych spółki H. T. K. Każe się tego domyślać zwiększony obrót wekslowy w kantorach żydowskich i pospieszne wywożenie resztek zboża z gumien ziemiańskich. Pokażmy Niemcom, co Polak potrafi.

Hulaj duszo!

Z estrady i sceny

Zwyciężony.

Dramat w 4 aktach przez Wl. Rabskiego.

Wieczór czwartkowy upamiętnił się na naszej scenie jako chwila wielkiego, ogólnego tryumfu. — Tryumf ten święcili artyści, którzy grą pełną życia i werwy porwali i unieśli licznie zgromadzoną publiczność, święcił go autor, bo serca i umysły słuchaczy podbił i opanował, święciło go i miasto nasze — bo wzbogaciło piśmiennictwo krajowe pierwszorzędnym talentem w najrzadszym rodzaju, na polu, które u nas prawie odłogiem leżało, na polu literatury dramatycznej.

„*Zwyciężony*“ nie jest pierwszym utworem młodego dramaturga. — Od pojawienia się „Ascety“ na scenie naszej upłynęło lat parę, a przez ten czas talent autora dojrzał, spotężniał, opanował się, a wrodzony polot, temperament, siłę ujął w karby miary artystycznej, która jest tak ważną, a tak rzadką utworów sztuki zaletą. Najtrudniej ją wyrobić w talentach wielkiej miary — a do takich śmiem zaliczyć wczorajszego zwycięzcę.

Pierwszy akt jego sztuki, obfity w dramatyczne zawikłania, budzi pewne obawy, że może tak rozpoczęta akcya w dalszym ciągu osłabnie, spadnie o ton niżej i zepsuje wrażenie artystyczne całości. Obawy to płonne, walka wciąż się wzmaga — interes ani na chwilę nie słabnie — przeciwnie, akcya potęguje się ciągle i dąży coraz szybszem tempem do nieuchronnej katastrofy.

Silne wrażenie, ogarniające słuchaczy — tem wyżej cenić należy, że autor zrzekł się zupełnie taniego, a zużytego środka, sztucznych, nerwy targających efektów. — W dramacie jego nie ma sztyletów i trucizn, trupów nie wynoszą ze sceny — zabójstwa nie grają żadnej roli. — Wszystko tu proste, wszystko z życia wzięte, wszystko jedno z drugiego wynika — a każda kolizya, każde zawikłanie dramatyczne ma źródło jedynie w duszach bohaterów.

I oto właśnie trafiamy na najważniejszy punkt wartości sztuki wczorajszej, na jej wewnętrzną, najcenniejszą zaletę: psychologiczną prawdę charakterów.

„Takie kreśl postacie, w którychby żywe biły serca“ — oto zasada kardynalna twórczości literackiej.

Zasadzie tej, nasz wielkopolski dramaturg w każdym szczególe wiernym pozostał. Jego postacie żyją własnem życiem, tak prawdziwe i tak konsekwentne — że słuchacz razem z niemi boleć, cierpieć — kochać lub pogardzać musi.

Zygmunt, szermierz nowych idei, bohater wyzywający do walki przeciwników z młodzieńczą wiarą w niechybne zwycięstwo — to natura silna i czysta. On nawet dla idei swej do sztuczek się nie zniża, niechcąc jej profanować nizkiemi środkami. W boju bezwzględny — lecz uczciwy, nie waha się poświęcić spokoju swej żony, nazwiska jej ojca i brata gdy chodzi o tryumf prawdy nad fałszem, cnoty nad obłudą.

A jednak miłość go rozbraja; wobec rozpaczy kobiety, która wszystko poświęciła dla niego — kobiety, którą kocha całą duszą, a której szczęścia dać nie może, kobiety, która już nie kochanką, nie żoną tylko, ale matką jego dziecięcia ma zostać — chwieje się i upada. I nikt za to potępiać go nie może, choć każdy czuje i rozumie jego boleść — i jego poniżenie. Bo tu nietylko o ideę chodziło, ale o sprawiedliwość, o zaniedbanie najświętszego obowiązku zdjęcia piętna hańby ze świeżej mogiły niesłusznie potępionego człowieka. To stłumienie pozagrobowego protestu niewinności, upominającej się o swe prawa — z odstępstwa tego czyni zbrodnią okropną, i znów nie dziwimy się wcale, że po spełnieniu tak strasznej ofiary, Zygmunt prawie wstrętu nabiera do żony, która jest dla niego żywym wyrztem sumienia. Rozumiemy go, gdy w ostatniej, wspaniałej scenie odtrąca splamioną rękę teścia i szwagra i jednem uczuciem pogardy obejmuje nietylko jej rodzinę lecz i ją samą, tę niegdyś ukochaną Martę, którą dziś „ułamkiem niewieścim“ nazywa. — A jednak, czemże zawiniła ona, która go do zguby przywiodła? Była dobrą, czułą, kochającą — zdolną do najwyższych poświęceń kobietą. I tu właśnie zaznacza się subtelny i głęboki zmysł psychologiczny autora. Skreślił typ niewieści tak piękny, że wśród innej sytuacyi, w innych życiowych warunkach, byłby on może ideałem skończonym, — a przecież zaznaczył, że doskonałością on nie jest, że trzebaby Marcie jeszcze wznieść się na wyższy poziom, by stanąć na wysokości zadania swego, że kochać i cierpieć to i dla kobiety nie wystarcza na wszystkie życiowe zawikłania — trzeba jeszcze wiedzieć i rozumieć, i czasem ponad płaską równinę czysto prywatnych i rodzinnych uczuć wzlecieć w sferę ducha, spojrzeć w słońce idei, umiłować społeczeństwo swoje, — sprawiedliwość i szeroko pojęty obowiązek obywatelski. Marta tego nie czuje — Marta jest tylko kobietą, żywem wcieleniem „des ewig Weiblichen“, które dziś już nie może być alfą i omegą doskonałości kobiecej. Przeciw idei walczy łzami, pocałunkiem, pieszczotą, skargą, lub jękiem rozpaczliwym — a gdy mąż jej wykazuje całą przepaść hańby, w którą ona go wtrąca, z jej piersi wyrywa się bardzo naturalny — lecz i bardzo egoistyczny okrzyk: „a ja!?“ Owo nieszczęsne „ja“, owo rozszerzone cokolwiek na pojęcie najbliższego rodzinnego otoczenia kobiece uczuciowe samolubstwo oto skała, o którą rozbija się łódź losów naszego bohatera. — A żona tak mało odczuwa, tak mało rozumie jego boleść i wyrzuty sumienia, że gdy kosztem męża rehabilitowany ojciec zapowiada swe przybycie, Marta rzuca się Zygmuntowi na szyję i poniesza go słowami: „dziś nowe słońce zabłyśnie w naszym domu.“ — Ile tu w tem prawdy — ile głębokiej ironii!

Obok głównej pary bohaterów grupuje się jeszcze kilka żywo odczutych i trafnie skreślonych postaci. Ruszczewski, zacny i nieszczęśliwy starzec, który poniżającą jałmużnę ostateczną hańbą, a hańbę śmiercią opłaca, a i stary sługa — całą duszą swemu panu oddany, wierny w doli i niedoli, co sam jeden łzę roni nazapomnianej i wzgardzonej mogile, to typy same w sobie skończone — to dwaj bohaterowie cichej tragedyi, która się równolegle do głównej akcyi i w związku z nią rozgrywa. I może do najpiękniejszych scen w dramacie należy ta, w której stary Turkiewicz w ręce redaktora składa testament zmarłego pana i ze łzami błaga, by „o nim ładnie napisali w gazetach“.

Prócz dramatu nie brak tu i satyry.

Składają się na nią przedstawiciele klasy przeżytej — skarłowaciałych potomków wielkich rodzin, którzy z rozbicia tradycyi rodzinnych umieli wynieść jedynie cześć dla pozorów i nizką obłudę. Jest tam typ redaktora, który nie służy idei, lecz nią się posługuje, służalca wielkich panów, nie gardzącego żadnym środkiem dla zdobycia głównego celu — pieniędzy i powodzenia. A jednak i ten obóz przeciwny bezwzględnie potępionym, nielitościwie przeczernionym nie został. Ratuje go uczciwy obywatel Modliński, postać drugorzędna wprawdzie, lecz i prawdziwa i dobrze nakreślona.

Dodać jeszcze należy, że język autora jest piękny, za piękny może miejscami w realistycznym utworze — lecz pełen uroku i wciąż przypominający widzom, że dramaturg jest zarazem poetą.

Złożywszy hołd autorowi, należy poklask oddać artystom. Benefisant, p. *Sosnowski*, z trudnego swego zadania wywiązał się znakomicie. Myśl autora pojął tak, jak tylko wyższej inteligencyi i szerszych pojęć człowiek pojąć ją jest zdolny, a to co myślą i sercem odczute zostało, talent pierwszorzędny wydobył na jaw i w postać Zygmunta wcielił. Panna *Zimajer* zgotowała nam miłą niespodziankę. Obawialiśmy się jeszcze w pierwszym akcie, że mimo subtelnego talentu i inteligencyi artystki, siły jej młode nie starczą dla trudnego zadania, nerwy nie zniosą naprężenia nadmiernego. Tymczasem zapał tak ją uniósł, ujawniła tyle temperamentu scenicznego, tyle dramatycznych pierwiastków w grze, że obawy nasze pierzchły i to, co mogło być przeszkodą, stało się niemal dodatnią stroną jej kreacyi. Dobrze, że słodka, kochająca, wypieszczona córa rodu Wareckich, przedstawiła nam się w takiej pełnej delikatnego wdzięku i drobnej postaci, — dziś już innej Marty wyobrazić sobie nie umiemy.

Należałoby jeszcze uczcić pochwalną wzmianką i p. *Trapszę* za jego pełną prawdy i werwy humorystycznej postać redaktora, i p. *Skirmunta*, który osobę hrabiego trafnie i z miarą artystyczną odtworzył, i p. *Królikowskiego*, który wzruszył nas do głębi — i p. *Skóraczewskiego*, który w roli starego sługi łzy nam wycisnął, i innych jeszcze sumiennych i zdolnych artystów, którzy wspólnemi siłami stworzyli skończony i pełny obraz całości. Braknie mi na to czasu i miejsca, niech pominięci wybaczą, bo grzmiące, frenetyczne oklaski, któremi darzono i artystów i autora, były dość wymownym wyrazem ogólnego zachwytu, w którym się cała publiczność zgodnie i solidarnie złączyła.

Iza Moszczeńska.

KRONIKA LITERACKA.

Arnsztajnowa F. (F. A. M.). Poezye. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1895, in 8-o stron 88.

„Czy w górę podnoszą mnie anielskie skrzydła, sokole, motyle — ja nie dbam“, mówi autorka w jednej ze swych poezyi, nic przeto dziwnego, że, zadawalniając się jakimkolwiekbądź lotem, arcydzieła nie stworzyła. „Poezye“ jej nie porywają ani myślą śmiałą, ani uczuciem gorącem, ani bogatą wyobraźnią. Są to w formie poprawnej, salonowej, wypowiedziane wrażenia osoby inteligentnej i odczuwającej w pewnym, nawet dość znacznym stopniu czar przyrody. Niektóre jej sonety, a zwłaszcza dwa pierwsze, są uderzającem, choć może mimowolnem naśladownictwem Mickiewicza. Z innych wierszy najlepiej autorce udały się liryczne, mniej zaś opisowe. W ogólności „Poezye“ czytają się gładko i, z wyjątkiem paru drobnych usterek, nie rażą smaku estetycznego czytelnika.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Trzecie czytanie wniosku o przywrócenie zakonu Jezuitów w Niemczech odbędzie się w środę 20 b. m. — Obliczają, że w razie zaprowadzenia podatku na tytoń w Prusach, straci chleb 35,000 robotników. — W sejmie pruskim przemawiali posłowie dr. Dziorobek, dr. Mizerski i ks. dr. prałat Jażdżewski w sprawie niedostatecznej liczby polskich tłomaczów w sądownictwie.

Zjazdy i kongresy. Walne zebranie Banku Przemysłowców polskich w Poznaniu odbędzie się 18 b. m. o godz. 8 na sali p. Adamskiego. — Zebranie Tow. rolniczego na okolicę Kłecka i Kiszkowa odbędzie się 17 b. m. w Kiszkowie. — Walne zebranie spółki „Kasa pożyczkowa“ w Ostrowie odbędzie się w niedzielę 17 bm.

Teatr i muzyka. Wincenty Rapacki (syn) złożył Dyrekcyi teatru poznańskiego jednoaktową komedyę pt. „Plama“. Jednoaktówkę tę przedstawił autor równocześnie zarządowi teatrów warszawskich. — Scena poznańska wprowadzi niebawem na deski komedyą Abrahamowicza pt. „Pan Poseł“. — Na benefis utalentowanej artystki pani Trapszowej wystawi teatr nasz w najbliższy czwartek głośną operetkę p. t. „Gorąca krew“. — Paderewski opracował szkic fortepianowy trzyaktowej opery do libreta Alfreda Nossiga z motywów góralsko-węgierskich. — P. Brandowski, śpiewak opery frankfurckiej robi usiłowania celem wystawienia „Halki“ w Frankfurcie, na co się podobno Dyrekcya godzi. — Krytyka lwowska wyraża się nader pochlebnie o najnowszej sztuce Sudermanna, (Walka motyli) która w ubiegłym tygodniu ujrzała na tamtejszej scenie światło kinkietów. Warszawski „Teatr Rozmaitości“ poświęca przyszły tydzień nieomal wyłącznie Sudermannowi. W poniedziałek bowiem grają „Koniec Sodomy“ w środę „Gniazdo rodzinne“, w piątek „Honor“, w niedzielę „Koniec Sodomy“.

Zmarli:

A. A. Abaza, były rosyjski minister finansów zm. w Nizzy przed kilku dniami.

Szambelanowa Berling, najgorliwsza poplecznicżka propagandy katolickiej w Danii zm. w Kopenhadze w początkach lutego.

Leon Fortuński, artysta-malarz zmarł 30 stycznia w Monachium.

BIBLIOGRAFJA.

Dr. Józef Siemiradzki. Za morze! Szkice z wycieczki do Brazylii. Lwów 1895. Cena 2,50 mr.

Walentyna Koroszkiewiczowa. Pamiętniki Lalki. Lwów 1895 Cena 2 mr.

Wacław Rudnica-Daniszewski. Uruchomienie własności ziemskiej i reforma kredytu rolnego ze stanowiska ekonomii społecznej. Dwa tomy. Kraków 1895. Nakładem Gebethnera i Sp.

Odpowiedzi Redakcyi.

Jednemu z życzliwych. Dziękujemy za informacye. Jest to ciekawa ilustracya stosunków poznańskich.

Dr. K. Dramat „Zwyciężony“ p. Wład. Rabskiego ukaże się na półkach księgarskich z początkiem wiosny.

—wicz. „Rodzina Połanieckich“ wyjdzie w formacie książkowym 25 bm.

Sprostowanie

W Nr. 5 w rubryce "Składki" czytać należy zamiast „Od kupców w Ośrrowie“ — „Od kupców w Ostrowie“.

Od Redakcyi

Przypominamy czytelnikom naszym składki na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.